

STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

·PAX·

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI



R. V
NR 4 (17)

INCO-VERITAS

Sp. z o.o.

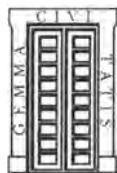
ZAKŁAD PRODUKCJI GALANTERII 34-425 BIAŁY DUNAJEC
tel. Zakopane (0-165) 732-23, 660-35, 662-88 telex 0325569

**Największy w Polsce producent galanterii
do pielęgnacji włosów i GOGLI sportowych**

OFERUJEMY TAKŻE:

- ramki do zdjęć 24x18, 18x13
- nakrętki w bogatym asortymencie form i kolorów
- podstawki do kaset, płyt, książek, gazet
- druty do robót ręcznych
- grabie ogrodnicze





STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

·PAX·

ALMANACH SĄDECKI

R. V NR 4 (17)



Nowy Sącz 1996



Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Stowarzyszenia Civitas Christiana
w Nowym Sączu
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 43 81 52

Redakcja: Marek Basiaga
Leszek Migrata — red. naczelny
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: BIKER
Nowy Sącz, tel./fax (018) 42 81 61

Druk: S.C. „BAAD”
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 41 28 25

BŁOGOSŁAWIONA KINGA MATKA NARODU W TRUDZIE NOWEJ EWANGELIZACJI

Powyższe słowa wypowiedział w dniu 24 lipca 1989 roku **Jan Paweł II** w liturgicznym Wspomnieniu bł. **Kingi**. I kontynuował:

„Gromadzimy się w dniu, w którym Kościół w Polsce przypomina postać błogosławionej Kingi, postać, która ma swoją wymowę także i w naszych czasach.

*Wiemy, że ta dziewicza żona **Bolesława Wstydliwego** stała się Matką Narodu, zwłaszcza po najeździe tatarskim, pomagała Polsce odbudować się również w znaczeniu ekonomicznym. Z jej pamięcią są związane żupy solne w Wieliczce, a nade wszystko pomagała ludziom doświadczonym najazdem mongolskim odzyskać wiarę w siebie i w swoją przyszłość. I to jest szczególne zadanie — rzecz by można — Błogosławionej Kingi na nasze czasy. I w tym miejscu jest Ona aktualna”.*

Postać Kingi i jej sanktuarium w Starym Sączu są bliskie sercu papieża, który przebywał tu kilkakrotnie jako metropolita krakowski, kardynał **Karol Wojtyła**. Klasztor starosądeckich klarysek jest bowiem licznie odwiedzany miejscowym diecezją tarnowskiej. Na doroczną (w lipcu) uroczystość odpustową przybywają pielgrzymki z całej Sądecczyny. Kult błogosławionej ma kilkuwiekową tradycję i początkami swymi sięga niemal czasów tuż po jej śmierci. Wśród znakomych gości klasztoru byli m. in.: **Władysław Łokietek** i jego żona **Jadwiga** (jej ciało spoczywa w podziemiach klasztoru); **Kazimierz Wielki**, **Władysław Jagiełło**, **Ludwik Węgierski**, **Jan III z Marysieńką**, a także dostojnicy kościoła, prymasi Polski: **Dalbor**, **August Hlond** i **Stefan Wyszyński** oraz liczni biskupi i przełożeni zakonów.



Linoryt:
Jan Czech

Klaryski — zakon żeński, o jednej z najsurowszych reguł — został założony w Asyżu w 1212 roku przez św. **Klarę** (1194–1253). Początkowo nosił nazwę „Pań ubogich”, a obecnie II zakonu (dla informacji: I zakon, to zakony męskie franciszkańskie, a III zakon, to tzw. „tercjarze”). Do tej rodziny zakonnej prócz klarysek należą również: kapucynki i obserwantki, a także zgromadzenie, które powstało na emigracji w Chicago w 1884 roku — „Siostry franciszkanki” od bł. Kunegundy (Kuneguntki). W Polsce działają również założone we Francji „Klaryski od wieczystej adoracji”. Do Polski sprowadziła je w XIII wieku bł. **Salomea**.

W czasie zaborów ich domy zostały zlikwidowane przez zaborców (z wyj. Krakowa i Starego Sącza). Do Starego Sącza sprowadziła je ze Skały koło Krakowa Kinga po śmierci swego małżonka Bolesława Wstydliwego. W tymże 1280 roku, oprócz klasztoru Klarysek ufundowała tu drugi klasztor, Franciszkanów. Kinga zmarła w za-

łożonym przez siebie klasztorze w 1292 roku, w poczet błogosławionych zaliczona została w 1690 roku, a proces jej kanonizacji jest w toku. W 1715 roku otrzymała tytuł Patronki Polski i Litwy, zaś w 1901 roku ogłoszono ją patronką diecezji tarnowskiej.

Mimo tak surowej reguły klasztornej (świadczy o tym fakt, iż klaryska po złożeniu ślubów zakonnych nie wyjdzie poza teren murów zakonnych do końca swego życia i nie może być nawet na pogrzebie najbliższych), ciągle są tu powołania zakonne i obecnie w starosądeckim klasztorze żyje około 40 siostr. Warto nadmienić, iż w poczet błogosławionych zostały zaliczone klaryski: Salomea +1268 (siostra Bolesława Wstydliwego), Kinga +1292 i jej siostra **Jolanta** +1298 (matka Jadwigi Łokietkowej).

Każdy turysta, który znajdzie się w Starym Sączu, mieście — muzeum, zwanym średniowieczną perłą Beskidów nie omieszką skierować swych kroków w stronę klasztoru, którego wspaniała sylwetka widoczna jest z daleka. W skład zespołu klasztorowego wchodzi: kościół pod wezwaniem św. Trójcy i św. Klary, przylegający do niego od południa klasztor oraz szereg budynków mieszkalnych i gospodarczych. Całość zespołu otoczona jest wysokim kamiennym murem obronnym ze strzelnicami i cylindryczną basztą (jedyna zachowana), obok której umieszczono bramę wjazdową na dziedziniec gospodarczy. Na murze zachowały się resztki sgraffit. W obręb zespołu klasztorowego doprowadza nas dróżka przechodząca przez sień bramną w wieży, która nakryta jest barokowym hełmem. Wiszą w niej trzy dzwony, w tym jeden gotycki. Przed wejściem do bramy warto się zatrzymać i spojrzeć do góry w lewo, gdzie widać fronton kościoła (znajduje się już w obrębie murów poza klauzurą!) z posągami bł. Kingi, Bolesława Wstydliwego i płaskorzeźbą św. Trójcy. Po przejściu bramy znajdziemy się na dziedzińcu: po lewej stronie mamy dom kapelana, a na przeciw b. dom kapelana (była tam szkoła, a obecnie jest tu tzw. „Dom bł. Kingi”, w którym będą eksponowane dzieła sztuki poza klauzurą). Idąc dalej, po prawej stronie mamy: tablice pamiątkowe poświęcone **Józefowi Paszkiewiczowi** (starosądecki szewc, współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Starego Sącza i Muzeum Regionalnego) oraz **Stefanowi i Jánowi Lipskim**. Przechodząc dalej, obok wejścia do kościoła, dochodzimy do furty i rozmównicy klasztornej, gdzie można kupić pamiątki związane z bł. Kingą.

Rzućmy okiem na dach: zakończony trójkątnym szczytem z wnękami, w których przedstawiono sgraffitowe postacie świętych franciszkańskich: bł. Salomei, św. Franciszka, św. Klary, bł. Kingi oraz Chrystusa. Stromy dach wieńczy oryginalna wieżyczka sygnaturki z zakończeniem w kształcie korony królewskiej, dzieło **Franciszka Placidiego** z 1799 roku.



Założenie Klasztoru.

Rys. Walery Elias

Z konarów winnej latorośli, wyrastającej z łona leżącego pod nią Jessego, zwisają liście i kiście winogron, na których ustawionych zostało kilkanaście postaci królów Izraela, przodków Matki Boskiej, której postać widnieje u samego szczytu „drzewa”. Całość jest suto złożona, zaś twarze, liście i winogrona pomalowane na kolor naturalny. Wykonał ją nieznany twórca z kilku gatunków drzewa: dębu, sosny, lipy i gruszy. Ma ponad 6 m wysokości. Nad bramką wiodącą schodkami na ambonę Michał Archanioł „*sprawy ludzkie waży na szali*”.

W nawie znajdują się trzy ołtarze, z których najciekawszy jest główny, dzieło włoskiego mistrza, **Baltazara Fontany**, z 1696 r. Jego centrum zajmuje trybowana w srebrnej blasze Trójca św., a po bokach cztery stiukowe anioły, wzorowane na rzeźbach wykonanych wg rysunków **Berniniego**. Na jego szczycie, na tle złocistego słońca i roju aniołków, scena Wniebowzięcia.

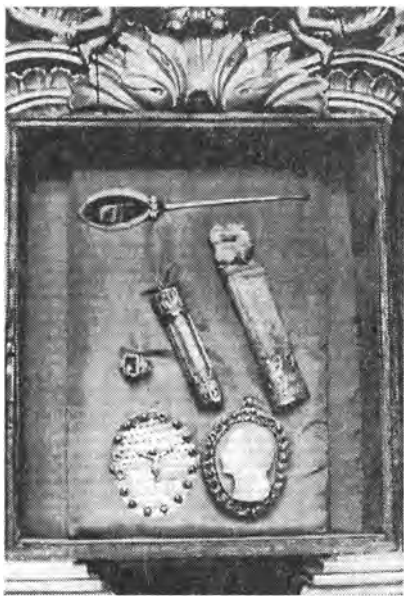
Spójrzmy od ołtarza głównego do tyłu, w stronę chóru: zobaczymy tam niezwykle, bo bardzo szerokie gotyckie okno. W ten to niezwykle oryginalny sposób — rozwiązano trudny problem, jakim było zapełnienie wielkiego otworu, koniecznego do przepuszczenia głosu z kościoła na chór zakonny, gdzie siostry — nie będąc widzia-

Budowa i rozbudowa kościoła klasztornego trwała wiele lat: są już bowiem wzmianki o pracach z 1285 roku, trwały także po jego konsekracji w latach 1328–1332, a ich zakończenie nastąpiło pod koniec XIV w. Wiele razy odbudowano go po pożarach. Jest to budowla murowana, gotycka, do której wchodzimy przez wejście boczne. W przedsionku kamienna kropielnica z herbami ofiarodawców. Prezbiterium nakryte jest gotyckim sklepieniem, a ściany zdobi barokowa polichromia ze scenami z życia bł. Kingi, postaciami świętych franciszkańskich i iluzjonistycznie malowanymi fragmentami architektury.

Arcydziełem sztuki snycerskiej w skali światowej jest pochodząca z 1671 roku drewniana ambona w kształcie tzw. DRZEWA JESSEGO (ojca Dawida), czyli rodowód N. M. Panny.

ne — mogą uczestniczyć w nabożeństwach. Warto dodać, że organy tam się znajdujące mają podwójną klawiaturę: w kościele i drugą na chórze zakonnym.

Po obu stronach ołtarza głównego, pod ścianami, znajdują się stalle i ławy barokowe, bogato zdobione malowidłami ze scenami życia mnichów franciszkańskich. Po prawej stronie nawy zwraca uwagę marmurowy portal z kutą w żelazie kratą, która odgradza kaplicę bł. Kingi od reszty kościoła. Znajduje się tam posąg Kingi oraz srebrna trumienka z jej relikwiami (dar hr. **Stadnickiego** z Nawojowej, ufundowany przez niego w 1892 r. w 600-lecie śmierci błogosławionej). Tu także można zobaczyć pamiątki pozostałe po bł. Kunegundzie: tyżeczkę z agatu, relikwiarzyk—ostensorium z kryształu górskiego, kościaną rękojeść sztyletu, medalion z krucyfiksem i antyczną gemmę. Umieszczona obok portalu tablica przypomina, iż w podziemiach tego kościoła spoczywa Jadwiga Łokietkova.



Pamiątki po bł. Kindze

Klasztor był pierwotnie drewniany i dopiero po wizytacji biskupa **Maciejowskiego** w 1601 roku rozpoczęto budowę murowanych pomieszczeń. Budowę, pod kierunkiem **Jana de Simoni**, zakończono w 1606 r. Za klauzurą — a więc niedostępną — znajduje się w klasztorze wiele dzieł sztuki. Wymieńmy choć kilka: iluminowane kodeksy, w tym graduale z końca XIII w., rękopis Długoszewego „*Vita Beate Cunegundis*”. To właśnie w bibliotece klarysek, pod koniec lat sześćdziesiątych, muzykolog dr **Mirosław Perz**, odnalazł najstarszy zabytek muzyki polskiej, wielogłosowy conductus „*Omnia beneficia*” z ok. 1300 r., przesuwający dzieje polskiej muzyki o 2 wieki! Jest to odkrycie równe rangą „Bogurodzicy” dokonane przez **Aleksandra Brücknera**, który początkowo stawiał hipotezę, iż powstała ona właśnie w starosądeckim klasztorze Franciszkanów! A więc jednak Stary Sącz jest kolebką... nie literatury, jak domniemywał Brückner, a muzyki polskiej! Odkrycie dra Perza dało asumpt do organizowania, począwszy od 1975 roku, Starosądeckich Festiwalu Muzyki Dawnej z udziałem zespołów i solistów z Polski i całego świata. Przytoczmy conductus „*Omnia beneficia*” w wolnym przekładzie na język polski, dokona-

nym przez jego odkrywcę:

*„Wszystkie dobrodziejstwa radości rodzące się
Różne jakie daje łaska słodkie usiłowania wzbudzając.
Chwalić Boga, który zbawia grzesznika dając odpuszczenie.
Wiedziałem, jak powiedziałem, bo rzec mogłem...
Odmówiłem, jak mogłem.
Jeżeli teraz błędę, to nic dziwnego, ponieważ się zestarzałem.”*

Wśród obrazów trzeba wymienić „*Misericordia Domini*” z XV w., kilka cykli obrazów poświęconych Kindze i ludowo–barokowych z XVIII w. Odnotujemy także interesujące rzeźby z warsztatu **Gabriela Padovaniego**, malowane sprzęty o dekoracji figuralnej i ornamentalnej. W zespole zabytkowych tkanin trzeba wymienić rzadkość: haft z XVII w., na którym przedstawiono Tróję św... jako trzech mężczyzn!

Trudno, będąc w klasztorze Klarysek, nie podejść (są kierunkowskazy) koło murów klasztornych do źródła bł. Kingi, które powszechnie uważane jest za lecznicze. Znajduje się tam późnobarokowa kaplica bł. Kingi, z piękną kratą i figurą błogosławionej z 1799 r.

Klasztor starosądecki obchodził uroczyste w latach 1980–1981 jubileusz 700–lecia swego istnienia. Na przestrzeni tych siedmiu wieków stał się jednym z najbardziej znanych i odwiedzanych ośrodków kultu religijnego oraz prawdziwą skarbnicą sztuki.

Obchody 700–lecia Fundacji Klasztoru Sióstr Klarysek w Starym Sączu w roku 1980 połączone były z sympozjum historyków — zorganizowanym z inspiracji śp. arcybiskupa **Jerzego Ablewicza**. Wygłoszono na nim referaty poświęcone bł. Kindze i historii jej kultu: „Błogosławiona Kinga w rodzinie; Duchowość bł. Kingi; Błogosławiona Kinga a sprawy polskie; Znaczenie bł. Kingi i starosądeckiego klasztoru dla rozwoju kultury polskiej; Dzieje relikwii bł. Kingi; Kult bł. Kingi w Polsce; Beatyfikacja błogosławionej Kingi i starania o jej kanonizację; Siedemsetletnie dzieje klasztoru PP. Klarysek w Starym Sączu; Zabytki kultury religijnej w sanktuarium starosądeckim; Matka Najświętsza w życiu bł. Kingi” — wydane następnie w formie książkowej pt. *Błogosławiona Kinga i jej klasztor w Starym Sączu*. Podobnie uroczystości obchodzono w 1990 roku, w 300–lecie beatyfikacji Kingi. Rozpoczęły je uroczystości 10 czerwca, które połączone były z odpustem ku czci św. Trójcy (pod takim wezwaniem jest kościół klasztorny). Dokładnie w tym dniu — 10 czerwca 1690 roku — papież **Aleksander VIII** zaliczył Kingę w poczet błogosławionych. Po mszy św. bp **Władysław Bobowski** poświęcił tablicę pamiątkową i „Dom bł. Kingi”, a tak-

że podsumował trzydniową wizytację kanoniczną parafii Stary Sącz.

Wspomniana tablica została ufundowana przez wychowanki działającego przy klasztorze seminarium nauczycielskiego żeńskiego. Oto treść odlanej w brązie tablicy: U góry, po prawej postać bł. Kingi, zaś u dołu, po lewej tarcza szkolna i napis: *W HOŁDZIE BŁ. KINGI — W PODZIĘCIE SS. KLARYSKOM I PROFESOROM SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO W LATACH 1922–1939 — WDZIĘCZNE — UCZENNICE I WYCHOWANKI.*

„Dom bł. Kingi”, to zabytkowy budynek z lat 1605–1609, który niegdyś służył jako mieszkanie kapelana klasztoru, potem zaś mieściła się tu szkoła klaszorna dla dziewcząt (także i wzmiankowane prywatne żeńskie seminarium nauczycielskie), a po 1945 roku zespół szkół zawodowych. Po jego zwrocie klaryskom i niezbędnym remoncie, przeznaczony został na miejsce wystaw poświęconych Kingi i starosądeckiemu klasztorowi. W dniu 4 czerwca nastąpiło otwarcie pierwszej wystawy *„Błogosławiona Kinga w twórczości współczesnej”*, na której pokazano ponad 250 prac z różnych dziedzin sztuki: malarstwa, grafiki, rzeźby, tkactwa, wykonanych zarówno przez zawodowych artystów plastyków, jak i amatorów. Jest to plon konkursu ogłoszonego przez klasztor w 1989 roku wśród artystów z terenu Sądeczyny. Wielkość i różnorodność prac, które napłynęły, ukazały, iż postać Kingi nie jest współczesnym ludziom obca i daleka, lecz raczej wciąż żywa i budząca zainteresowanie. Wzbogacił on wybitnie ikonografię bł. Kingi o nowe tematycznie ujęcia, np. Kinga jako opiekunka i orędowniczka, błogosławiona grająca na harfie, czy spoglądająca na mapę diecezji tarnowskiej (jest przecież jej patronką!), czy Kinga u stóp Chrystusa. Prawdziwą sensację wzbudziły plansze barwnego komiksu — przygotowanego pod kierunkiem opiekunki kółka plastycznego działającego przy starosądeckim Ośrodku Kultury, p. **Józefy Kamińskiej** — przez uczniów szkoły podstawowej; **Krzysztofa Lorczyka** i **Robert Pajdzika**. Wydano go już w 1990 roku drukiem pt. *Opowieści o tej, która była Matką Narodu*. Telewizja polska, w programie „modlitwa wieczorna”, transmitowała z tutejszego klasztoru modły artystów profesjonalnych



**Bolesław Wstydlivy kosztuje rybę
z obiadu bł. Kingi i stwierdza w niej
smak mięsa**

i nieprofesjonalnych woj. nowosądeckiego (12 VI) oraz przewodników turystycznych PTTK (19 VI 1990 r.).

Hasłem Roku Jubileuszowego 300-lecia beatyfikacji bł. Kingi były słowa: „*BŁOGOSŁAWIONA KINGA — MATKA NARODU W TRUDZIE NOWEJ EWANGELIZACJI*”. Były one rozważane podczas uroczystej nowenny odprawianej w sanktuarium starosądeckim w dniach 20–28 lipca 1990 roku. W niedzielę, 22 lipca, podczas sumy dla oaz rodzin diecezji tarnowskiej, którą odprawił biskup **Józef Gucwa**, ukazał on rodzinę bł. Kingi jako wzór do naśladowania. W liturgicznej uroczystości ku czci Kingi 24 lipca (dzień jej śmierci), wziął udział ks. bp Władysław Bobowski, który wraz z neoprezbiterami diecezji tarnowskiej celebrował mszę św.

Centralna uroczystość dziękczynna w dniu 29 lipca zgromadziła liczne pielgrzymki, kilkudziesięciu kapłanów, przełożonych zgromadzeń franciszkańskich i księży kapelanów służby zdrowia diecezji tarnowskiej. Obecny był ks. bp **Piotr Bednarczyk**, który celebrował uroczystą sumę jubileuszową, a także wygłosił słowo pasterskie do zgromadzonych.

Jak widać, kult bł. Kingi nie tylko nie zanika, a wręcz przeciwnie, jest coraz żywszy. Miejmy nadzieję zatem, iż zostanie ona niedługo zaliczona w poczet świętych.

ŻEGIESTOWSKI TUNEL KOLEI TARNOWSKO–LELUCHOWSKIEJ

Budowa w latach 1874–76 kolei żelaznej doliną Popradu stanowiła nie lada przedsięwzięcie inżynieryjno–budowlane. Tory kolejowe biegnące doliną Popradu z natury rzeczy ograniczone były rzeką i okolicznymi górami, które stromo wyrastały po obu jej stronach. Największym problemem stał się przełom Popradu w okolicach Żegiestowa. Najjaśniejsza Komisja z wiedeńskiego Zarządu Budowy Kolei postanowiła przebić przez górę w Żegiestowie tunel, „*bowiem doliną Popradu między Żegiestowem a Andrzejówką torów budować nie sposób było inaczej jak tunelem*”.

Przebiecia tunelu podjęła się firma Koller und Gregorsen z Wiednia. Zaplanowano, że tunel pomieści dwa tory. Do specjalistycznych prac, wśród których poważnym przedsięwzięciem było wysadzanie skał dynamitem sprowadzono sporą grupę Włochów z Triestu. Na marginesie zauważmy, że wielu z nich do dziś pozostało na polskiej ziemi o czym świadczy tzw. „włoski cmentarz” w Andrzejówce. Zostali tu także potomkowie owych włoskich specjalistów z Triestu, o czym znów świadczą włoskie nazwiska współczesnych mieszkańców Andrzejówki (np. Cechinii).

Roboty pomocnicze wykonywali miejscowi. Najpoważniejszą pracą było wywożenie ziemi z drążonego w górze tunelu. Miejscowi chłopci znaleźli tu zatrudnienie. Tak zwanymi „biedkami”, czyli małymi jednokonnymi wózkami, wywozili ziemię z głębi góry na zewnątrz.

Pan **Edward Drozd** podaje, że nie obeszło się bez tragedii przy budowie. „*Mało kto wie, że tunel stał się grobem dla ponad 120 robotników sezonowych z okolicznych wsi, którzy go budowali*”.

Jak doszło do katastrofy?

Plan zakładał przebiecie tunelu po linii prostej. W czasie robót, kiedy były już

mocno zaawansowane, od tzw. strony krakowskiej zerwał się strop skalny grzebiąc 23 biedki oraz ponad 120 robotników. Cały tydzień trwały próby dotarcia do zasypanych, ale ratownikom udało się wydrążyć w skale tylko niewielką niszę, która zachowała się zresztą do dziś. Gdy wszelkie próby ratownicze okazały się bezowocne, postanowiono pozostawić to miejsce jako zbiorową mogiłę, a tunel poprowadzić łukiem obok. Tak też się stało. Zgodnie z planem w tunelu było miejsce na dwa tory, ale położono tylko jeden.

Dlaczego?

25 listopada 1874 r. nastąpiło uroczyste otwarcie tunelu, na które zaproszono wielu gości z Muszyny i okolic, wśród których był też i muszyński proboszcz ks. **Marchoń**. Uroczystość otwarcia tunelu zrobiła na nim kolosalne wrażenie, może nie tyle sama uroczystość, co przejście pieszo przez tunel, gdyż tak zanotował w „*Liber memorabilium*”: „...kiedy wraz z innymi gośćmi przechodziłem tunel 25 listopada 1874 r. był on już w niektórych miejscach wykończony i oświetlony światłem gazowym, lecz nie brakło też i pochodni. Dym i swąd tak dokuczał, że z trudem można było dobrać do wyjścia w Żegiestowie. Zarówno ja i każdy z gości najbardziej życzyliśmy sobie, by zobaczyć jeszcze światło dzienne. Niemilego wrażenia nie potrafił zatrzeć nawet obiad z piwem podany w baraku u wejścia do tunelu”.

Pierwszy pociąg przejechał długim na 514 m tunelem dopiero w 1876 r., a więc w dwa lata po otwarciu. Tyle czasu trzeba było na całkowite wykończenie tunelu.

Kolej tarnowsko–lełuchowska funkcjonowała wyśmienicie, wnet też zbudowano jej odnogę z Muszyny do Krynicy. Pierwszy pociąg do Krynicy pojechał w 1912 r.

Ale wydarzenia światowe potoczyły się tak, że wybuchła I wojna światowa. W obliczu działań wojennych na terenie ziemi sądeckiej (Limanowa, Gorlice) władze austriackie uznały tunel za bardzo istotny obiekt strategiczny. Do jego strzeżenia oddlegowano oddział żołnierzy, który z obu stron trzymał stałą wartę, a ponadto 8 razy na dobę patrolował wnętrze tunelu. Oddział został zakwaterowany w specjalnie wybudowanych barakach na Polskiej Łopacie w Żegiestowie. Niejednokrotnie w latach 70. prof. **Wincenty Spiechowicz** — wielki znawca historii Żegiestowa i jego miłośnik opowiadał anegdotę związaną z tunelem w czasie I wojny światowej.

Trudno dziś ustalić źródło onej anegdoty, ale opowiadana przez prof. Spiechowicza na pewno jest wiarygodna.

Otóż w 1915 r. późną jesienią skierowano do pilnowania tunelu oddział 60 żołnierzy, którymi dowodzili oficerowie austriaccy, wśród których był jako jedyny Polak, porucznik **Sebastian Hwilla**, podobno z pochodzenia Czech. Jak sam o sobie mówił, od czasów Grunwaldu osiedli w Polsce jego przodkowie, więc on już przez tyle pokoleń nie może być Czechem — jest Polakiem!



Wymiana szyn Żegiestów Zdrój, wrzesień 1945 r.

Służba nie drużba, więc przyszło żołnierzom witać Nowy Rok 1916 ściśle w męskim gronie. Major — dowódca oddziału — zaprosił wszystkich oficerów do siebie na ten Sylwestrowy Wieczór.

Cóż więc robią panowie oficerowie w ten tak szczególny wieczór?

Wspominają minione lata przy stole, na którym nie brakuje słowackiej palonki i rodzimej gorzałki. Rozmawiano wyłącznie po niemiecku.

Dochodziła północ, oficerom dobrze już dymiły czupryny. Por. Hwilla wstał od stołu i podszedł z kieliszkiem w rękę do portretu Najjaśniejszego Pana, który wisiał obowiązkowo na honorowym miejscu na głównej ścianie. Patrzył przez chwilę na oblicze monarchy, po czym podniósł kieliszek wznosząc toast... po polsku... „*No to cyk, stary pierdolo!*”, po czym wychylił zawartość kieliszka, a za nim wszyscy koledzy. Ów toast w ten sylwestrowy wieczór powtórzył jeszcze kilka razy.

Nie minęło jeszcze święto Gromnicznej, gdy por. Hwilla został wezwany do sądu wojkowego we Lwowie. Pojechał w niepewności czego dotyczy owo wezwanie. Gdy stanął przed Wysokim Sądem, na jego twarzy odmalowało się podwójne zdziwienie. Nie wiadomo czy los tak sprawił, czy było to świadome działanie. Za stołem sędziowskim siedzieli sami Polacy, a wśród jego dobrych znajomych także członkowie jego rodziny. Wuj pułkownik przewodniczył ławie sędziowskiej, a sąd miał nie lada problem do rozwiązywania.

Major, gospodarz sylwestrowego wieczoru w barakach przy tunelu w Żegiestowie, chcąc podreperować swą upadającą reputację na dworze we Wiedniu złożył raport, z którego wynikało, że por. Hwilla prawdopodobnie dopuścił się obrazy majestatu cesarskiego.

Cały raport napisany był po niemiecku, gdzie jedynie toast porucznika przed portretem Najjaśniejszego Pana „*no to cyk, stary pierdoła*” był w języku polskim.

Sąd miał rozstrzygnąć czy doszło do obrazy majestatu, czy nie, bowiem na dworze we Wiedniu nikt nie umiał, a może nie chciał lub nie śmiał przetłumaczyć na niemiecki co znaczy owo polskie zdanie.

Wuj pułkownik po długich deliberacjach z członkami ławy przysięgłych i samym porucznikiem siostrzeńcem stwierdził, że trzeba odpisać na dwór cesarski, że sprawa odbyła się, ale nie było podstawy do stwierdzenia, że nastąpiła obraza majestatu cesarskiego. Bowiem major, autor raportu, nie znając Polaków i języka polskiego nie wiedział, że w pewnej odmianie ludowej gwary polskiej określenie „*no to cyk*” — oznacza „*na zdrowie*” lub „*na szczęście*”, albo też „*wszelkiej pomyślności*”, a „*stary pierdoła*” — to „*kochany dobrotliwy staruszek*”.

Tak więc toast porucznika był wyrazem troski o zdrowie monarchy, jego szczęście i pomyślność, a nie obrazą czy też ośmieszeniem majestatu Najjaśniejszego Pana.

Na dwór do Wiednia wysłano raport w języku niemieckim stawiający w całkiem innym świetle wydarzenia owej sylwestrowej nocy w Żegiestowie. Tym samym dowiadujemy się co z początkiem naszego wieku znaczył toast „...*No to cyk*” oraz jak rozumiano określenie „*stary pierdoła!*...”

A tunel służył dobrze kolei tarnowsko–lełuchowskiej. Przejeżdżało przez niego wielu kuracjuszy i letników, którzy tłumnie zjeżdżali do wód w Krynicy, Muszynie. Stanowił atrakcyjny cel wycieczek pieszych bawiących nie tylko w Żegiestowie gości.

W 1939 r. wycofujące się Wojsko Polskie wysadziło tunel, ale Niemcy dość szybko go odbudowali. Był im potrzebny, bowiem z frontu wschodniego szły tędy pociągi sanitarne, a w drugą stronę transporty jednostek i zaopatrzenie.

Nocą z 19/20 stycznia 1945 r. tunel po raz drugi został zniszczony, tym razem wysadzenia dokonali Niemcy. Przerwa w ruchu pociągów trwała aż do 1948 r.

Dwukrotne wysadzenie tunelu spowodowało pewne naruszenie struktury geologicznej góry. Z konieczności zmniejszono prześwit tunelu tylko do jednego toru. W czasie odbudowy tunelu tuż po wojnie, od sklepienia oderwał się znacznych rozmiarów głaz. Na szczęście nic nikomu się nie stało. W miejscu zwaliska zbudowano specjalny żelbetowy „plaster — pancerz” tak, że przejeżdżające wagony nieomal ocierały się o niego. Żeby odstraszyć ciekawskich, którzy otwierając okna chcieli

w ciemnościach tunelu przeżyć chwile mocniejszych wrażeń, zainstalowano brzo-
we miotłki, które każdego, kto wychylał się przez okno, biły po twarzy.

Od 1986 r. przez żegiestowski tunel mkną elektryczne pociągi. A tunel staru-
szek, pamiątka po monarchii Habsburgów, dalej służy i dziwi dobrą kondycją. Dziwu-
je się jedynie nowoczesnym urządzeniom zainstalowanym w elektrowozach i wspo-
mina „ciuchcie” dudniące i spowite kłębam dymu i pary za swej młodości.



JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Polacy zawsze utożsamiali niepodległość z wolnością. Wykazali zdumiewającą odwagę w okresie okupacji hitlerowskiej i powstania warszawskiego, niestety, po odzyskaniu niepodległości większość z nich zachowywała się biernie, nie mając żadnych przekonań politycznych. Tak twierdził **Juliusz Mieroszewski**, wybitny polski publicysta, który ze względu na swoje poglądy polityczne wyemigrował do Anglii.

Urodził się w Krakowie w 1906 roku, ale dzieciństwo i pierwsze lata młodości spędził w Limanowej. Ojciec jego był doktorem powiatowym w Limanowej, bardzo szanowanym przez społeczeństwo. Matka, **Maria z Dunikowskich**, pochodziła z bogatej rodziny ziemiańskiej w Łososinie Górnej i spoczywa na limanowskim cmentarzu. Juliusz studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Otrzymał dyplom Wyższej Szkoły Handlowej. Przed II wojną światową był współredaktorem politycznym „*Ilustrowanego Kuryera Codziennego*”. Kiedy wybuchła wojna zgłosił się do Brygady Karpackiej i wraz z nią przebył cały szlak wojenny. Współredagował pisma: „*Ku wolnej Polsce*”, „*Orła Białego*” oraz „*Paradę*”. W „*Paradzie*” opisał m.in. przebieg bitwy na Jabłońcu koło Limanowej, stoczonej pomiędzy wojskami rosyjskimi i austro-węgierskimi w dniach 8–11 grudnia 1914 roku. W 1949 roku wyjechał do Londynu i osiedlił się tam na stałe. Od 1 kwietnia 1950 roku został londyńskim korespondentem paryskiej „*Kultury*”, z którą współpracował aż do śmierci. Zmarł w Londynie w 1976 roku. Oprócz artykułów napisał również kilka książek, które wydała „*Biblioteka Kultury*”: *Ewolucjonizm*, 1964, s. 70; *Polityczne neurozy*, 1967, s. 191; *Modele i praktyka*, 1970, s. 221; *Materiały do refleksji i zadumy*, 1976, s. 225.

Był czołowym publicystą „*Kultury*”, ale z powodu niskiej pensji (650 franków) żył skromnie i nigdzie nie podróżował. Rzeczywistość poznawał za pośrednictwem książek, gazet i radia. Redaktor „*Kultury*”, **Jerzy Giedroyc**, był najlepszym jego przy-

jacielem i co rok odwiedzał go w Londynie. Wiele razy zapraszał Mieroszewskiego do siedziby „Kultury” w Paryżu, jednak on nie pojechał, aby nie narażać redakcji na dodatkowe koszty. Napisali do siebie 1374 listy: 794 Giedroyc, a 580 Mieroszewski. W rozmowach z Giedroyciem często wspominał o wsi podhalańskiej, czyli o Mordarce (obecnie teren miasta Limanowej), gdzie mieszkali we własnym domu jego rodzice. Dom ten zachował się w dobrym stanie do obecnej pory.

Zadaniem „Kultury” było przeciwstawienie się komunizmowi. Było to pismo niezależne, wiarygodne, oferujące czytelnikom uczciwość intelektualną, polską niezależną myśl polityczną i prawdę historyczną. W broszurze *Ewolucjonizm* Mieroszewski stwierdził, że komunizm musi podlegać ciągłej ewolucji, w przeciwnym wypadku musi dojść do jego likwidacji. Wciąż myślał o Polsce i w dyskusjach z Giedroyciem szukał sposobu jak wywrzeć na nią wpływ. Nazywał ją krajem satelitarnym wobec Związku Radzieckiego. Satelitą — według Mieroszewskiego — jest państwo, które może istnieć tylko w ramach protektoratu swego hegemonu. Z chwilą, gdy niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego zostałoby usunięte, rosyjska protekcja byłaby zbędna. Miał nadzieję, że z biegiem czasu polityka światowa zmieni się na korzyść Polski. Wtedy Związek Radziecki przestanie być jedynym gwarantem naszej terytorialnej nienaruszalności. Uznawał prawo narodów do samostanowienia. Stalinowska Rosja była państwem niepodległym, a w rzeczywistości niepodległym więzieniem. Prawie tak samo było w Polsce i Mieroszewski już w 1964 roku przewidywał zbiorowe wystąpienia robotnicze. Społeczeństwo polskie było bierną, komenderowaną masą, a trzeba było, aby odzyskało wiarę we własne siły. W tym celu popierał wystąpienia zbiorowe, ale przemyślane i słuszne, proponował rozwiązania realne i możliwe do przyjęcia. Ustrój socjalistyczny, zdaniem Mieroszawskiego, mógł unowocześniać się i demokratyzować o ile siły społeczne były zdolne wy-

musić to na aparacie władzy. Gomułka bał się odwilży, tłumiał rewizjonizm, a tym



Juliusz Mieroszewski.

**Fot. ze zbiorów Biblioteki Miejskiej
w Limanowej**

samym ureakcyjniał społeczeństwo. Reprezentował komunizm konserwatywny, który utrudniał ewolucję w kierunku niezależności Polski. Jego polityka nie znalazła poparcia ani w zjednoczonej partii, ani w społeczeństwie. Polacy nie byli wolni, mimo że byliśmy państwem niepodległym.

Największy konflikt wywołał artykuł Mieroszewskiego *Polska Ost — politik* (K. 6/1973). Głosił w nim, że Polska powinna uznać prawo do samostanowienia wszystkich narodów ciemionych: Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Przyznał, że Wilno należy do Litwy, a Lwów do Ukrainy. „*Osobiście — powiedział — jestem antyśowiecki, lecz дума narodowa nie pozwala mi przyłączyć się do licznego chóru tych Polaków, którzy wyszydzają i poniżają Rosjan*”. W artykule *Polacy i... Paganie* (K. 9/1954) pisał, że nie widzi w najbliższym czasie możliwości powrotu emigrantów do Polski. Przypominał im, aby pamiętali, że są Polakami i bronili interesów kraju na Zachodzie. Muszą stworzyć takie ramy działania i nacisk moralny, aby każdy Polak czuł się odpowiedzialny za kraj i kulturę polską. Pisarze, publicyści i politycy na emigracji, którzy reprezentują sprawę polską nie powinni przyjmować obcego obywatelstwa.

Mieroszewski nie ukrywał swojego negatywnego stosunku do komunizmu. Uznawał, że występuje w nim o wiele więcej konfliktów i sprzeczności niż w świecie kapitalistycznym, dlatego jako doktryna polityczna całkowicie zawiódł. Pomimo to twierdził, że wolna Polska powinna pozostać w przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, ale na rozsądnych warunkach, jako równorzędny partner. Obydwa państwa łączą dziesięciolecia wspólnej historii i doświadczeń, dlatego to porozumienie jest możliwe i osiągalne. Polska jest kluczem Rosji do Europy i należy rozładować uczucia antyrosyjskie. Związek Radziecki trzeba włączyć do systemu europejskiego, a jego poziom technologii i stopy życiowej zrównać z Zachodem. Nie należy natomiast wiązać się z Niemcami, ponieważ Republika Federalna zgłasza terytorialne pretensje pod naszym adresem. Mieroszewski opowiadał się za zjednoczeniem Niemiec, ale na zasadzie uznania granicy na Odrze i Nysie oraz gwarancji, że Niemcy zjednoczone nie przekształcą się w potęgę atomową.

Prawdziwa wolność, to wolność demokratyczna. Demokracja to typ kultury politycznej, która musi wyrósć z nas samych, trzeba ją wypracować i wywalczyć. Nie stworzy jej ani nowa konstytucja, ani wolne wybory. Wolność dostępna jest krajom na pewnym poziomie gospodarczym, których towary liczą się na rynkach zagranicznych. Demokracja to ścieranie się opinii i przekonań, i uznawanie wieloświatopoglądowości, a nie zwalczanie się kilku partii politycznych aż do opanowania przez jedną z nich steru władzy. Wielopoglądowość może istnieć nawet w ramach jednej partii i wówczas nawet do ogólnopolskiej partii mogliby wstępować: materialści,

katolicy, ludowcy i inni. Powstałoby wtedy kilka klubów, stanowiących jawną opozycję. Rządziłby ten klub, który by miał największe poparcie społeczeństwa. „Niestety programy ustrojowo-polityczne Polacy rozpatrują zawsze pod kątem widzenia zdobycia i utrwalenia władzy — nigdy z zamiarem utrwalenia i zabezpieczenia demokratycznych wolności”.

Poglądy polityczne Mieroszewskiego są do dziś aktualne, mimo że głosił je wiele lat wstecz. Świadczy to o dużym talencie politycznym. W nekrologu Juliusza Mieroszewskiego, podpisanym przez redakcję „Kultury” (K. 7–8/1976) czytamy: „Zapewne „Kultura” będzie sobie dawała radę bez Niego, ale nie — jak w przesądnej skromności sądził — doskonale. Śmierć Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie wypełni. Wraz z Nim umarła część „Kultury”.

Zygmunt Ossowski w artykule *Mieroszewskiemu w hołdzie z kraju* (K. 9/1976) pisał m.in.: „Ale on chciał służyć Krajowi, a w Kraju sytuacja stale ewoluowała, zmieniała się, przynosiła nadzieje i rozczarowania. Mieroszewski dzielił je z ludźmi z Kraju, bo jak nikt inny śledził jego losy i nie mógł być obojętny na rozgrywający się tam dramat... Dlatego był publicystą tak bardzo polskim, czytany w Kraju i należącym do Kraju, choć przebywającym w dalekim Londynie”.

Modlitwa

*W myślach buduję przyszłość
która jawi się
mgliście...
Nie potrafię
ująć jej w ramy,
zaplanować
tego co będzie
kiedyś...
Boję się jej
I z tego
zdaję sobie
sprawę:
że brak mi
hartu
i odwagi
do której
nie przyznaję się
otwarcie.
Jedynym okruczem
mojej nadziei
jest modlitwa
Do CIEBIE*

Kraków, 23 czerwiec 1996

Maria Bazieli

Miasto mojej młodości

Kolorowa cisza nad miastem zapadła
Majestatem swoim otulając drzewa,
Które jak radosne, w śnie barwnym widziadła
Mówią wciąż do siebie... w ich konarach śpiewa

Wiatr halny od Rytra, ciepło przynoszący
Pod dachy domków, gdzie rynek pochyły
Dumny ze swej przeszłości, wspomnieniem żyjący
O pokoleniach, które tutaj dawniej żyły.

Piękno w nich drzemiące tchnie dawnymi czasy:
Gdy Kinga — Królowa, klasztor budowała,
By ludzi ratować i sądeckie lasy
Przed tatarów hordą — chronić zamierzała.

Domki wkoło rynku za ręce się wzięły,
Tuląc się do siebie jak dzieci strwożone,
Od wieków tu stojąc — ku ziemi się zgłęły —
Emanując ciszą — śniedzią przyprószone...

Prostują dumnie swoje stare mury,
Dachy wznoszą w górę na podporach z drzewa,
By widziały słońce patrząc ponad chmury
I z rozkoszą chłoneły wiatr co w murach śpiewa...

W pastelowych barwach ścian, ich stare dźwierza
Dumnie strzegą tego, co w przeszłości było.
Starego Klasztoru barokowa wieża
Przypomina wszystkim: tu się kiedyś żyło!

Nie szkodzi to miastu, że domki sterane
Latami co ślad na nich zostawiły;
Pieśni tu odkryte będą wciąż śpiewane,
Cnoty, mądrość przodków, przed światem sławiły.

Kraków, 24 czerwiec 1996

Maria Bazieli

Człowiek jak
mrówka
biega
zawsze tymi samymi
drożkami
w jedną
i drugą
stronę —

Wydeptuje
klepisko
na którym
tworzą się
nierówności,
jego egzystencji.

Tworzy góry
i zagłębienia
— jak życiowe
wzloty
i upadki —

Żeby je
wytrzymać
trzeba
wykazać
dużo odporności
na trudy
i kochać życie

Widzieć więcej
i wyżej
aniżeli mrówka.

Podnosić wciąż
głowę
ponad rzeczywistość.

*Widzieć szerzej
i dalej
a przede wszystkim
widzieć
drugiego
człowieka...*

Kraków, 28 czerwiec 1996

Maria Bazielić

Uroki kniei

*Jak mam opisać
Łopuszniańską knieję?
Czy najpierw zacząć
od strzelistych świerków,
Których szczyty zda się
dotykają nieba,
Czy cześć należną
oddać dumnym sosnom;
Chyba im najpierw
pokłonić się trzeba;*

*A może wpierw
akacjom rosochatym
Co ku mnie jak kochanki
unoszą ramiona
Jak by mnie chciały
w uścisku miłosnym
Czule przytulić
do wonnego łona.*

*Nie wolno także
o nich zapominać
O białych brzozech —
— lasu arcyksiężnych
O bukach stalowych
i klonach złocistych*

*I o staruszkach
olchach niebosiężnych.*

*Ale wypada się
także pokłonić
Stuletnim dębom —
starym wiernym wojom,
Które tu wrosły
i na straży kniei
Dzielnie i twardo
od lat wielu stoją.*

Zbigniew Bazieli

Wielka niewiadoma

*Powiedz mi wróżko
czy dni mych
wystarczy
bym w pastelach
wyraził*

*Mój podziw
dla łąk kwitnących
rozkwieconych ogrodów
szumem śpiewających
poezję lasów
sięgających nieba
szczytów górskich
dla nieba
zachodem słońca
ubarwionego
dla luster jezior
odbijających niebo*

*Powiedz mi
czy zdołam
w umykających*

dniach
latach
namalować to wszystko?

Czy zdążę
nim serce
wypalę
z zachwytu
zużyć moje
kredki
do końca?

Zbigniew Bazieli

W podzięce

Człowiek — to serce...
nawet serce z kamienia
można
przekuć
patrzac
gdy
Ty
drobną dłonią
z uśmiechem
podajesz
swe serce
smutnym
słabym
tym, którzy zwątpili
w ludzką dobroć
w prawdziwą miłość
przywracasz
uśmiech
wiarę w życie
w sens przetrwania



czym
i jakimi słowami
wyrazić Ci
wdzięczność
Bezimienna Siostró
śnieżnobiała
Madonno...

Zbigniew Bazieli

Jesienna Sonata

Odłożył Stwórca Zmęczony
cudowną paletę jesieni
I oniemiał z zachwyty,
lazu w fiolet się zmienił...

Już nie ma wśród farb wielu
barw szarości i czerni;
Naprzeciw człeczej zgryzocie
wyszedł mglisty październik...

Świat dotąd płowy i szary
gra purpurą i złotem,
Na chwałę Jego Imienia,
na Jego przedtem i potem...

Na cud Przeistoczenia
w Postaci Chleba i Wina
I w przenajświętsze piękno,
Które wskrzeszać zaczyna...

Zbigniew Bazieli

PRZYJACIELE ZNAD DUNAJU

No, może nie przyjaciele, ale ludzie, którzy w latach hitlerowskiej Apokalipsy zdobyli się na odwagę bronić Polski i Polaków, na miarę posiadanych możliwości. Tam, gdzie zagrożenia miały bardziej istotny wymiar i ciężar. Ale do rzeczy.

Jeżeli się pisze o sądeckich sprawach w latach II wojny światowej — nie wolno zapomnieć o Austriakach, którzy na mocy mobilizacyjnych przydziałów pełnili w aparacie okupacyjnej władzy różne funkcje i zajmowali różne stanowiska. Oczywiście zawsze na szczeblu nadzrędnym i kierowniczym. Należeli przecież, na prawach „Anschlusu”, od 1939 r. do Herrenvolku.

Chodzi jednak o to, że ludzie ci, najczęściej wiedeńscy, zachowywali się na ogół przyzwoicie. I gdyby nie gestapowski miecz Damoklesa, od którego bezustannie wiało grozą śmierci — ich propolska postawa byłaby o wiele mocniej i zdecydowanie wyrażna. Mimo wszystko wielu z nich pozostawiło po sobie pamięć „dobrych Niemców”.

Ale idąc dalej tym tropem trzeba dodać, że taki stan rzeczy nie zaistniał z dniem 1 września 1939 r. — to był owoc wielowiekowego obcowania obydwu narodów na różnych obszarach istnienia i działania. Pominąwszy sławną w dziejach bitwę pod Wiedniem, gdzie husaria Sobieskiego złamała potęgę turecką, ratując Austrię i resztę zachodniej Europy przed zalewem osmańskich hord — wejdźmy na obszary dziejów rozbiorowych i życie pod zaborem austriackim w latach 1772–1918.

Okres zaborów nauczyliśmy się oceniać negatywnie. W pewnym sensie słusznie. Zapominamy jednak, że w tamtych latach relacje na liniach Lwów — Nowy Sącz — Kraków — Wiedeń przebiegały w różnych formach na co dzień. Przecież właśnie w owym okresie na wiedeńskich uczelniach setki młodzieży polskiej zdobywało tytuły profesorów, doktorów, prawników, lekarzy, inżynierów i oficerów, czy do-

skonających fachowców różnych specjalności i branż.

W sumie, to wiekowe ocieranie się o siebie dwóch obcych sobie językiem, kulturą i duchem narodów — nie mogło pozostać bez śladu. I oto mamy główny klucz do problemu, o którym mowa. Wprawdzie w marcu 1938 r. **Hitler** zagarnął Austrię, ale fakt ten dla mentalności poszczególnego Austriaka był tylko momentem politycznym i zmian w wartościowaniu jego zasad życiowych nie spowodował. Konsekwencją był właśnie fakt, że na ogół Austriak, siedzący w hitlerowskim aparacie władzy, egzekwując twarde zasady faszystowskiego reżimu — zdołał czynić to zachowując w możliwie wysokim stopniu godność osobistą i szacunek dla polskiej racji stanu. Że nie zawsze — to inna sprawa.



Johann Hoschtalek

Spójrzmy, dla przykładu, na jednego z tych Dobrych. Choćby dlatego, że jego losy związane były mocno z Sądeczyną.

Uczestnik I i II wojny światowej, inżynier dyplomowany, **Johann Hoschtalek**, urodził się 10 marca 1899 r. w Budziejowicach (Budweis). Szkołę realną i gimnazjum ukończył w Weidhofen. Po maturze został skierowany do Szkoły Oficerskiej Rezerwy Artylerii w Keiser-Ebersdorf koło Wiednia, z praktyką w 45. pułku artylerii polowej w Przemyślu.

Przemyśl, pierwszy styk Hoschtalka z Polską, był dobrą szkołą wiedzy o naszym kraju. Młody podchorążak, z austriackiego garnizonu w Keiser-Ebersdorf, miał szczęście trafić do grona,

w którym tak dowódca baterii, do której Hoschtalka przydzielono, jak i zespół najbliższych kolegów — byli Polakami. Polubili Austriaka i, przyjażniąc się, uczyli go Polski. Dobra to była „szkoła”, skoro 50 lat później Hoschtalek, w liście z kwietnia 1964 r. mógł napisać: „*Seit dieser Zeit hatte ich das Polonische Volk achten und bewunder gelernt*” (Od tego czasu nauczyłem się szanować i poważać polski naród).

W czasie, gdy leutnant Hoschtalek osiadł w Przemyślu, wybuchła I wojna światowa i praktyka, która miała trwać rok, przedłużyła się prawie o 5 lat. Pułk bowiem został skierowany do działań frontowych. Walczył najpierw pod Stochodem, później w rejonie Lublina i koło Brześcia Litewskiego. Z kolei 45. pułk przerzucono do Fran-

cji, na wielki „plac rzeźni”, nad brzegami Oisy. Wojnę zakończył w północnych Włoszech, pod Asiago.

W 1919 r., ledwo jako tako pozbierał się w kupę i strzepał z serca frontowe stresy — rozpoczął studia w wiedeńskiej Hochschule für Bodenkultur, na dwóch kierunkach: budownictwo wodne i gospodarka leśna. Naukę ukończył zdobywając tytuł inżyniera dyplomowanego.

Trafił na czas, w którym ogrom wojennych strat wręcz wołał o fachowców z różnych branż, a przede wszystkim z branży technicznej. Podziurawiony wojną świat — trzeba było łątać i budować od nowa.

Inż. Hoschtalek, zaraz po obronie dyplomu, przez pewien czas pracował na budowach wodnych w Czechosłowacji. Wnet jednak uległ namowom znajomych, którzy zatrudnieni przy budowie zapór wodnych w Związku Radzieckim zarabiali doskonale i żyli jako „zagraniczni specjaliści” na wyjątkowo uprzywilejowanych prawach.

Podpisał w ambasadzie radzieckiej w Wiedniu umowę i wyjechał na wyznaczony plac budowy. Właściwie tych „placów” było kilka. Zostali bowiem rzućni na obszar Pamiru: górskiej krainy, w której północną część stanowiła Tadżycka Socjalistyczna Republika Rad, ale południowo-wschodnimi krańcami wtłaczała się w rejony Chin i Afganistanu. Pracowali także na Ukrainie, w rejonie Kiszyniowa oraz przy budowie Kanału Białomorskiego.

Po wygaśnięciu umowy wrócił Hoschtalek do Wiednia, aby wypocząć trochę po pamińskich wrażeniach w swym przytulnym lokum przy Schottenfeldgasse 17.

„Leże” domowe nie trwało jednak długo. Ten typ zawodu, jakiemu się inżynier poświęcił, był szalenie ciekawy, ale miał to do siebie, że ganiał po różnych kątach świata i osadzał krócej lub dłużej tam, gdzie akurat było coś ważnego do zrobienia i możliwie dużo do zarobienia.

Kolejnym miejscem pracy Hoschtalka był Rosenheim w Bawarii, gdzie inżynier kierował „ujarzmieniem” dzikich górskich potoków, za pomocą specjalistycznych tam, zapór i urządzeń, które zmuszały rozbrykane wody do uczciwej pracy w napędzaniu kół młynów, młynków i małych gospodarskich elektrowni.

Kiedy już zdążył okiełznać żywioł i podporządkować go ludzkim potrzebom — przyjął pracę w Urzędzie Wodnym w Passau. Także w Bawarii. Kierownikiem urzędu był inż. **Heinz Völk**, który Hoschtalka po prostu polubił, co w niedalekiej przyszłości miało mieć kapitalne znaczenie.

Kolejne spotkanie Völka z Hoschtalkiem nastąpiło... w Krakowie w 1940 r. Po dwóch latach, ale na tym samych stanowiskach: Völk — kierownik Wasserwirtschaftsamtu w skali dystryktu, Hoschtalek — jego zastępca, z obowiązkiem prowadzenia Urzędów Gospodarki Wodnej w wyznaczonych rejonach.

Hauptmann Hoschtalek, oficer rezerwy, 14 maja 1940 r. objął urządowanie z nakazem zorganizowania od nowa, według wzorów niemieckich, Zarządów Wodnych w Nowym Sączu i Nowym Targu. Z tym, że w skład ww. rejonów wchodził częściami zlikwidowany przez okupanta powiat limanowski.



Władysław Pietruszewski

Daleki od hitlerowskich postaw agresywnego faszyzmu — zaczął swoje „urządowanie” od nawiązania kontaktów z byłymi kierownikami Urzędów Wodnych: inż. **Władysławem Pietruszewskim** w Nowym Sączu i inż. **N. Koszycą** w Nowym Targu. Kontakty takie zostały nawiązane i Hoschtalek nie chcąc oddawać polskich spraw w niemieckie ręce — właśnie obydwu inżynierom przywrócił dawne funkcje i polecił zorganizować Zarządy Wodne w oparciu o dawną kadrę pracowniczą.

Z początku obaj inżynierowie mieli pewne wątpliwości i obawy: przecież ich nowy zwierzchnik nosił oficerski mundur i był przedstawicielem „Der Wasserwirtschaftsamtu” w Krakowie, któremu podlegała cała gospodarka wodna na południu Polski.

Wystarczyło jednak kilka rozmów sam na sam, aby wszelkie zastrzeżenia przestały istnieć, ustępując miejsca wielkiemu zadowoleniu i przekonaniu, że Herr Inspekteur Hoschtalek — to porządny chłop, który Polakom krzywdy nie robi. Stanowisko swoje ujawnił zresztą on sam w pierwszej pozasłużbowej rozmowie, mówiąc:

„Panowie, jednego możecie być pewni: ja tu nie przyjechałem po to, bypomagać Hitlerowi w niszczeniu Polski, jej dobytku, praw i spraw, ja zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby pomagać, bronić i ratować...”

Wprawdzie możliwości inż. Hoschtalka nie były zbyt wielkie: kierował przecież tylko wąskim odcinkiem gospodarki wodnej. Ale i tu przyjazna postawa „decydenta” znaczyła wiele, a w pewnych momentach bardzo dużo. Stwierdźmy to na podstawie faktów.

Działalność Urzędów Gospodarki Wodnej obejmowała głównie: regulację rzek i potoków, zabezpieczenia brzegów i roboty melioracyjne. W miejscach podjętych robót powstawały budynki biurowe, magazynowe i place składowe.

Ogromnym plusem dla działalności Urzędów Wodnych był fakt zezwolenia Hoschtalka na tworzenie załóg biurowych i technicznych w oparciu o element wyłącznie polski, według potrzeb uznanych przez kierowników urzędów jako niezbędne, przy czym nigdy nie usiłował analizować owej „niezbędności”, pozostawiając te sprawy w gestii swoich polskich zastępców. Mało, godził się na tworzenie różnych dodatkowych stanowisk, np. magazynierów, buchalterów, urzędników do załatwiania spraw meldunkowych, ubezpieczeniowych, kart pracy w Arbeitsamtach itd.

Fakt ten: tolerancja w traktowaniu struktur pracowniczych Urzędów Wodnych pozwalała ich kierownikom na przyjmowanie w biurze i na budowach sporej ilości osób z inteligencji, chroniąc ją przed wywozem na roboty przymusowe do III Rzeszy, no i dając możliwość jakiegoś takiego zarobku oraz kart przydziałowych na żywność i odzież.

W okresie późniejszym, lata 1943–1944, gdy zaczęły powstawać i rozrastać się oddziały partyzanckie, szczególnie na terenach limanowsko–nowotarskich, polska postawa Hoschtalka pozwoliła na wprowadzenie do kart zarobkowych na poszczególnych budowach tzw. „martwych dusz”. Był to proceder szczególnie niebezpieczny: chłopcy wojowali na leśnych ścieżkach, figurując równocześnie na listach zarobkowych i przydziałowych. W razie wpadki, osoby odpowiadające za rozchody finansowo–rzeczowe na danej budowie — spotkałby w najlepszym wypadku Oświęcim.

Mniej groźną formą pomocy, jaką świadczył Hoschtalek na rzecz polskiego ruchu oporu — głównie AK — były przydziały żywnościowe. Otrzymywali je z magazynów usytuowanych na większych budowach wodnych zarówno partyzanci, jak i osoby ukrywające się przed gestapo.

Zasoby finansowe i materiałowe, na wszystkich leżących w gestii Hoschtalka obiektach, były zawsze w dużym procencie zawyżone. Stan taki był wynikiem polityki gospodarczej Hoschtalka, jaką prowadził od pierwszego do ostatniego dnia pobytu w naszym kraju. Wciąż mając na myśli pomoc Polsce i Polakom — uzasadniał ciągłe prośby o zwiększenie dotacji na budownictwo wodne twierdzeniem, że budownictwo to należy do grupy objętej nazwą „kriegswichtig”, czyli grupy mającej dla działań wojennych specjalne znaczenie.

Swoim przyjaciółom: inż. inż. Pietruszewskiemu i Koszycy niczego wyjaśniać nie musieli. Oni wiedzieli jedno: wojna wcześniej czy później skończy się klęską Niemiec. A tymczasem każdy zbudowany obiekt, każdy metr uregulowanej rzeki, czy

zmeliorowanej powierzchni — pozostanie dla kraju, zmniejszając obszar wyrządzonych przez wojnę i rabunkową gospodarkę okupanta zniszczeń i strat.

Hoschtalek mieszkał w Krakowie. Miał doskonały aparat radiowy, służbowego Mercedesa, który obsługiwał przydzielony kierowca, **Józef Kondelka**, w latach międzywojennych członek KPP. Wszystkie wymienione elementy włączył Hoschtalek w służbę polskiego ruchu oporu: radio dostarczało wiadomości z frontów, które inżynier notował i powielał, a Kondelka rozwoził pod wskazane adresy. Mercedes oznakowany tablicami „Regierung GG” — nie podlegał żadnej kontroli, co pozwalało inżynierowi przewozić spokojnie najbardziej „trefne” przesyłki z krakowskich komórek AK do placówek terenowych i z powrotem. I, co najciekawsze, Hoschtalek był od 1928 r. członkiem austriackiej Partii Komunistycznej. Kondelka również był starym komunistą. I akurat obydwaj oddali swe siły i serce w służbie AK.

Problem ten tłumaczył Hoschtalek w rozmowie z inż. Pietruszewskim — z którym się serdecznie przyjaźnił — w sposób bardzo prosty i logiczny: *„Ja jestem komunistą, ale to wcale mi nie przeszkadza na trzeźwą ocenę polskich spraw. Pomagam tym siłom, które walczą o waszą wolność. Zorientowany przez polskich przyjaciół, widzę, że wasze podziemie podzielone jest ostrymi liniami różnic ideowych i politycznych. Dzielicie skórę „na żywym niedźwiedziu” i czynicie bardzo niemądrze. W aktualnej sytuacji, gdy wszystkie siły wszystkich Polaków winny być skierowane na front walki o wolność — wy je tracicie na konflikty i użerki o charakterze ustrojowo-politycznym, na co będziecie mieli aż nazbyt wiele czasu po wyzwoleniu.”*

Jakże mądrze myślał inżynier i jak trafnie oceniał sytuację! Nawet z tym nadmiarem czasu do zmagania o kształty ustrojowe nowej Polski! Czyżby przypuszczał, że potrwa to „tylko” 40 lat? A może! Znając system radziecki z bliska — mógł nie mieć wątpliwości odnośnie zamiarów Stalina w stosunku do wyzwolonych przez jego wojska ziem.

Kontakty inż. Hoschtalka z Nowym Sączem zaczęły się latem 1940 r. w czasie pierwszego spotkania z kierownikiem byłego Zarządu Wodnego, inż. Władysławem Pietruszewskim, czego efektem było powstanie w Nowym Sączu Wasserwirtschaftsamtu, z inż. Pietruszewskim na czele i inż. **Julianem Wężykiem** w roli zastępcy.

Z czasem kontakty służbowe przerodziły się w serdeczną przyjaźń. W sytuacji Hoschtalka była to swoista reakcja na stosunki, w jakie go wpakował wojenny los. Większość urzędników Wasserwirtschaftsamtu stanowili Niemcy, w tym wielu tak „zwariowanych” na tle hitlerowskiej ideologii lub trzęsących się na myśl o gestapo, że z nimi — poza pogodą — o niczym rozmawiać nie było można.

Dla człowieka o wysokim zasobie wiedzy, kultury osobistej i mnogości zainteresowań, a takim właśnie był Hoschtalek — życie w totalnej ciemnocie umysłowej i strachu było straszliwą udręką. Na szczęście pełnił funkcję, która pozwalała mu możliwie często „uciekać” z Krakowa na tak zwaną inspekcję budów, pod którą kryły się także domy inż. Koszycy w Nowym Targu i inż. Pietruszewskiego w Nowym Sączu.

Dopiero tu, w atmosferze pełnego zaufania i szczerości, czuł się dobrze i mógł sobie pozwolić na zrzućcenie z serca wszystkiego, co bolało i gniewało. A ponieważ obydwa panowie tkwili głęboko w różnych formach ruchu oporu — tu właśnie zapoznał się z jego istnieniem, celami i potrzebami. Obydwa panowie stali się również pośrednikami w realizowaniu tych form pomocy, jakimi Hoschtalek postanowił wspierać akowską partyzantkę.

Przyjaźń między Pietruszewskim a Hoschtalkiem sięgnęła szczytu, w momencie gdy Pietruszewski został aresztowany przez gestapo pod zarzutem udziału w ruchu oporu. Sprawa była tym gorsza, że ten rodzaj zarzutu był bardzo trudny do odparcia. Tym bardziej w sądeckim gestapo, którego szef, Obersturmführer **Heinrich Hamann**, słynął z okrucieństwa w stosunku do tego właśnie typu „przestępców”.

Hoschtalek zareagował z miejsca, zgłaszając u swoich przełożonych w Rządzie GG, że aresztowanie wybitnego fachowca uniemożliwi mu wykonanie zadań ujętych w planach jako niezbędne dla potrzeb wojennych. To był argument wystarczający: Pietruszewski został zwolniony i wrócił na dawne stanowisko.

Ważnym posunięciem Pietruszewskiego było skontaktowanie Hoschtalka z kierowniczką sądeckiej Delegatury RGO (Rady Głównej Opiekuńczej), „Pierwszą Damą Sądeckiego Miłosierdzia”, **Jadwigą Wolską**. Owocem kontaktu była pomoc żywnościowa, pobierana przez Wolską z magazynów Wasserwirtschaftsamtu oraz możliwość krycia zagrożonych aresztowaniem osób przez zatrudnienie na budowach wodnych w terenie. Na fałszywych dokumentach lub w charakterze „martwych dusz”.

Poza tym Hoschtalek ułatwiał Wolskiej dojście do ważnych osobistości z kręgu władz od spraw wyżywieniowych, rekomendując ją mianem „Schönste Frau”, co pozwalało jej otrzymywać większe przydziały w żywności i lekach.

Główną „ambasadorką” od spraw pomocy ze strony Hoschtalka dla polskiego ruchu oporu, głównie AK, była sądeczanka z ul. Kilińskiego: „Frau Kristine” — mgr **Krystyna Babiarzówna**, pełniąca w Urzędzie Wodnym funkcję sekretarki. Ale nie tej z biura przy ul. Wąsowiczów. Wykształcona, pełna subtelnej urody, a przy tym przedsiębiorcza i energiczna, była właściwie „gospodynią” budów w danym rejonie. Odpowiedzialna za dokumentację i korespondencję — z raportów kierowników poszcze-

gólnych obiektów — wiedziała wszystko: o przebiegach robót na danym odcinku, o zaistniałych trudnościach i brakach. Przez pracującego na budowie w Łososinie Górnej, członką ruchu oporu, technika **Odziomka**, sama aktywistka sądeckiej placówki AK, zapoznała się ze strukturą limanowskiego podziemia i starała pomóc konspiracji i konspiratorom. Zwłaszcza rodzinom, których żywicieli, za pracę w ruchu oporu, zostali aresztowani i straceni lub zesłani do obozów.

Z Hoschtalkiem spotkała się wiosną 1942 r. w czasie przeprowadzanej przez niego inspekcji wykonywanych przez sądecki Zarząd Wodny rowów melioracyjnych w Łososinie Górnej. Zgodnie z ustaleniami między Hoschtalkiem i Pietruszewskim przy robotach zatrudniona była okoliczna biedota, a zwłaszcza zagrożona wywozem na roboty do Niemiec młodzież.

Już to pierwsze spotkanie dało Babiarzównie możliwość uzyskania zgody Hoschtalka na zatrudnianie na sąsiedniej budowie w Limanowej p. **Kaczyńskiej**, która po zamordowaniu przez gestapo męża została z czwórką nieletnich dzieci bez środków do życia.

Ten pierwszy gest życzliwości Hoschtalka dla polskiej nędzy — był początkiem wzajemnej współpracy na różnych obszarach potrzeb typu humanitarnego i konspiracyjnego. Także. Bo pani magister, choć zmieniała place budów, przechodząc po ukończeniu robót z jednej budowy na drugą — nie zmieniała swoich konspiracyjnych partnerów: zaopatrzeniowcy oddziałów partyzanckich „Topora”, „Zyga”, „Zawiszy”, „Łamparta” czy „Adama” — zawsze do pani Krysi trafili i zawsze coś uzyskali. W miarę możliwości.

Hoschtalek zresztą miał do niej bezgraniczne zaufanie. Zdumiewała go jej niekobieca odwaga i determinacja. Bał się tylko, aby nie wpadła. Pamiętał ją długo. W liście z dnia 24 kwietnia 1964 r., wspominając ją, napisał: *„Um Babiarzówna hatte ich oft grosse Sorgen, denn sie riskierte einige Male die Verhaftung”* (O Babiarzównę obawiałem się bardzo, ponieważ kilka razy ryzykowała aresztowanie).

Oprócz „Frau Kristine”, bardzo blisko współpracował z Hoschtalkiem kierownik nowotaraskiego Wasserwirtschaftsamtu, inż. Koszyca, przez którego zostały nawiązane kontakty z placówkami AK w Nowym Targu, Zakopanem i Mszanie Dolnej. Bazą, z której szła pomoc dla „leśnych” od „Zawiszy” i „Łamparta”, z rejonu Turbacza — były magazyny budów wodnych, głównie ze składnic w Łopusznej. Na tym terenie gospodarzył głównie inż. Koszyca, przy pomocy obydwu córek, które pełniły funkcje łączniczek na linii ojciec — magazyny budów — składnice żywnościowe partyzantów.

Ale nawet i tu sięgała informacyjna nośność Babiarzówny. W oddziałach partyzanckich na Turbaczu i na Mogielnicy przebywało kilkunastu jej znajomych z Nowego

Sącza, którzy informowali ją o najpilniejszych potrzebach oddziałów. „Frau Kristine” przekazywała je Hoschtalkowi, a ten doprowadzał sprawę do końca.

Przy okazji należy wspomnieć o sprawie udziału Hoschtalka w obronie Zapory Wodnej w Rożnowie. Temat ten wprawdzie był wielokrotnie omawiany na podstawie różnych, niekiedy wręcz legendarnych relacji, ale właśnie ten zamęt informacyjny skłania do ustalenia prawdy na podstawie danych uzyskanych od Hoschtalka, profesora Politechniki Gdańskiej **Wacława Balcerskiego** i innych.

Zapora w zasadzie nie leżała w gestii Zarządu Gospodarki Wodnej i Hoschtalek nie miał z nią nic wspólnego. Stanowiła samodzielny obiekt pod nazwą: „Talsperrenneubauamt Roznow”, z dyrektorami: niemieckim, inż. **Karl Pastor** i polskim, w roli zastępcy — inż. Wacław Balcerski. Zapora interesowała Hoschtalka dlatego, że jako fachowiec z tej branży widział w rożnowskim obiekcie szczytowy okaz budownictwa wodnego.

Martwił się jednym, czemu dawał wyraz w dziesiątkach rozmów z inż. Pietruszewskim: czy Niemcom w pewnym momencie nie przyjdzie do głowy szalona myśl wysadzenia zapory w powietrze... Na przykład, gdy na terenach położonych poniżej zapory znajdą się większe siły Czerwonej Armii! I obmyślał sposób ewentualnego ratunku.

Tak na niby, dla własnej satysfakcji, przez sekundę nie biorąc swoich pomysłów na serio. I niczego nie przewidując — wpadł nagle i niespodziewanie w sam „pępek” problemu.

Wiosną 1944 r. okupant zlikwidował Wasserwirtschaftsamt, powołując nową placówkę „Technisches Hauptamt” (Główny Urząd Techniczny), w którego programie znalazły się wszystkie czynności prowadzone dotąd przez Urzędy Wodne, a także sprawy zapory w Rożnowie. Inż. Hoschtalek został zmobilizowany i przydzielony na prawach wojskowych do nadzoru nad gospodarką wodną.

Późną jesienią 1944 r., gdy Rosjanie coraz szybciej zbliżali się w kierunku Du-



Wacław Balcerski

najca, Generalny Gubernator, dr **Hans Frank**, zwołał naradę z udziałem wyższych oficerów Wehrmachtu, w której uczestniczyli wszyscy pracownicy Technisches Hauptamt, a więc Baurat, Völk, Hoschtalek i inni. Na naradzie zapadło postanowienie wysadzenia Zapory Rożnowskiej. Natychmiast.

Chwilową ciszę przerwał inż. Hoschtalek mówiąc:

„Moim zdaniem natychmiastowe wysadzenie zapory byłoby posunięciem absolutnie niezgodnym z taktyką operacyjną naszych wojsk. Po pierwsze: Armia Czerwona znajduje się jeszcze zbyt daleko, aby wody zalewające tereny poniżej zapory mogły jej wyrządzić poważniejsze szkody. Trzeba więc czekać na moment, gdy główne siły wroga w tamtym rejonie znajdą się w kotle zalewowym i mogą ulec zniszczeniu. Sprawa druga: elektrownia o dużej mocy zasila w tej chwili w prąd duże połącze przyfrontowych terenów i setki obiektów wojskowych o znaczeniu strategicznym. I znów bardzo ważny powód, dla którego natychmiastowe wysadzenie zapory i związane z tym zniszczenie elektrowni byłoby posunięciem bijącym w interesy działań frontowych...”

Argumenty Hoschtalka były na tyle słuszne, że poparli je znajdujący się na sali oficerowie Wehrmachtu. Końcowy efekt narady był taki, że zapora musi być wysadzona, ale w odpowiednim momencie. Godzinę „W” miała ustalić komisja w osobach specjalistów od budownictwa wodnego: inżynierów Völka i Hoschtalka.

Szefem ekipy był Baurat Völk, człowiek w danym momencie kompletnie wykończony, którego nowe zadanie wtrąciło w stan całkowitej depresji. Inaczej zareagował Hoschtalek: swoim przemówieniem osiągnął zamierzony cel, bo każdy dzień zwłoki w wysadzeniu zapory umacniał szansę jej uratowania. A przecież Hoschtalkowi tylko o to chodziło.

Pierwsze ustalenia w tej sprawie nastąpiły już w trakcie jazdy z Krakowa na zaporę. Baurat Völk w zasadzie podzielał poglądy Hoschtalka w sprawie zapory, ale w jego stanie psychicznym dominowało jedno: strach przed sądem wojennym, który go czekał w razie jakichkolwiek niepowodzeń w tak ważnej akcji, jaką było zniszczenie zapory.

Ale Hoschtalek uspokoił go: *„Heinz, ruhig! Ja biorę całą sprawę w swoje ręce. Ty mi tylko nie przeszkadzasz, a ja sobie dam radę...”*

Trafili na moment, gdy niemiecki dyrektor, **Karl Pastor**, czując pismo nosem, dwa dni temu wziął urlop i zwiął „nach Heimat”. Na posterunku został jego zastępca, inż. Wacław Balcerski. Do niego też udał się Hoschtalek, znając jego aktywny udział w AK, aby wspólnie omówić sytuację i ustalić strategię obrony zapory. Na miarę istniejących możliwości.

Sprawa nie była ani łatwa ani prosta. Latem 1944 r., wnet po zamachu na Hitlera — zapora została „uzbrojona”, załogę stanowiły: kompania piechoty, bateria artylerii przeciwlotniczej, pluton wojsk technicznych, oddział żandarmerii oraz tzw. ekipa obsługi technicznej — w sumie około 200 osób. Dowódcą całości był inżynier w randze majora, który mógł, ale nie musiał porozumiewać się z dyрекcją administracyjną i techniczną na jakikolwiek temat związany z zaporą i elektrownią. Podlegał odrębnej Komendzie Wojsk Inżynieryjno-Technicznych, która zakładając wysadzenie zapory wydała mu rozkaz wykonania robót przygotowawczych i gromadzenia materiałów minerskich.

Na wspomnianej naradzie Balcerskiego z Hoschtalkiem zapadły ustalenia następującej treści: należy dążyć do utrzymania elektrowni w ruchu jak najdłużej, tak, aby Niemcom nie starczyło czasu na jej wysadzenie. Sprawę odpowiedniego urobienia personelu polskiego, pracującego w dużej ilości, głównie w elektrowni, przejął na siebie Balcerski. Hoschtalkowi przypadło w udziale wywieranie nacisku na Bau-rata Völka i komendanta załogi wojskowej. Głównym argumentem operacyjnym w gestii Hoschtalka był fakt, że Rożnów stanowił jedyną poważniejszą elektrownię przyfrontową, zasilającą w prąd Nowy Sącz, Tarnów, Brzesko i Bochnię, a więc miasta, w których z różnych powodów, także i wojskowych, należało utrzymać pełne pogotowie dla wszystkich instalacji zasilanych energią z Rożnowa.

W międzyczasie wojsko, zgodnie z otrzymanymi od swych władz rozkazami, zaczęło roboty demontażowe. Na pierwszy ogień poszły, niezbędne dla rozruchu elektrowni, tzw. regulatory turbinowe, które zapakowane w skrzynie miały zostać „ewakuowane” w głąb Niemiec.

Ale brakło czasu. 17 stycznia 1945 r. o godzinie 17.00 na drogach wyjazdowych z Rożnowa pojawiły się czołowe oddziały radzieckie. Wobec niemożliwości wyjazdu z zapory, samochody zostały rozładowane i skrzynie z regulatorami wrzucono do kanału odpływowego elektrowni. Miejsce zatopienia zostało przez działających z ukrycia polskich techników dokładnie zanotowane i oznaczone.

W tym samym czasie cała obsada wojskowa Rożnowa wycofała się na lewy brzeg Dunajca, obsadzając przygotowane wcześniej okopy.

Pierwsze oddziały radzieckie pojawiły się koło zapory 18 stycznia 1945 r. o godzinie 7.00. Walka ogniowa z Niemcami trwała do godziny 16.00 i zakończona została ucieczką Niemców w kierunku zachodnim. Zaraz po zaprzestaniu walki nurkowie z personelu elektrowni, **Pawłowski** i **Arendt**, zajęli się wydobywaniem zatopionych skrzyń z regulatorami. Po dwugodzinnej pracy regulatory zostały „wyłowione” i zamontowane, a o 20.00 elektrownia rozpoczęła normalną pracę. Przerwa w jej działalności trwała tylko jedną dobę.

Ale wróćmy jeszcze do inż. Hoschtalka i jego zasług w końcowej fazie ratowania zapory i elektrowni. Sprawę trzeba podzielić na trzy etapy.

Pierwszy: to grudniowa narada w gabinecie Gubernatora Franka, na której Hoschtalek uzasadnił, dlaczego nie należy się zbyt spieszyć z wysadzeniem w powietrze zapory w Rożnowie i gdzie zgłosił się na ochotnika do pomocy Bauradcy Völkowi w dopilnowaniu, aby zaporą w odpowiednim momencie przestała istnieć.

W nawiązaniu do podjętego zadania — wiercił Völkowi dziurę w brzuchu, a ten z kolei, legitymując się pełnomocnictwami władz Regierung GG dla spraw zapory — hamował zapędy komendanta załogi. Aż do momentu, gdy na szosie zaporą — Nowy Sącz zjawily się radzieckie oddziały, uniemożliwiając wywóz regulatorów na stację kolejową w Nowym Sączu.

Główny efekt roli Hoschtalka w sprawie zapory polegał na fakcie, że utopione regulatory pozostały na miejscu, zaś ich wydobycie pozwoliło na rozruch elektrowni w przeciągu jednej doby.

Gdyby zdołano je wywieźć, jak planowano, w głąb Rzeszy — mogłyby po drodze, czy na niemieckich składowiskach, ulec zbombardowaniu. A ponieważ bardzo skomplikowane mechanizmy regulatorów produkowane były tylko w Szwajcarii — nimby znaleziono źródło nabycia — mogło minąć wiele miesięcy, w czasie których pozbawione prądu rejony południowej Polski poniosłyby ogromne straty. Na każdym odcinku życia, głównie w strefie oświetleniowej, produkcyjnej i ogrzewczej.

I jeszcze przez moment o Hoschtalku. Choćby dlatego, że dzięki jego zabiegom, gdy 20 stycznia 1945 r. wylazłem z lasu, skostniały z zimna, mogłem poczuć smak życia po kilku szklankach herbaty zaparzonej za pomocą rożnowskiego prądu. Ale do rzeczy.

Inżynier opuścił zaporę wraz z wojskiem 18 stycznia wieczorem. Po dotarciu do szosy, artylerzyści i piechota, powędrowali w kierunku Limanowej. Hoschtalek zabral ze sobą grupę sapersko-minerską, aby — jak sam twierdził — nie narobili po drodze głupstw, wysadzając mosty i inne obiekty.

Po noclegu na partyzanckiej melinie w Żbikowicach, dotarł do Łososiny Górnej, gdzie miał wiele znajomości z lat 1942–1943, zawartych w czasie wizytowania prowadzonych na tym terenie robót melioracyjnych. Znajomi przyjęli Hoschtalka serdecznie, zaopatrzyli w żywność i zorganizowali przewóz saniami przez granicę słowacką.

Po drodze saperzy dołączyli do oddziału Wehrmachtu, a Hoschtalek udał się w drogę na własną rękę, pragnąc dotrzeć do rodzinnych Budziejowic. Zamiar omal nie skończył się tragedią. Zatrzymanemu przez patrol żandarmerii do wylegitymowania się nie dano wiary jego tłumaczeniom, ale aresztowano pod zarzutem dezercji

czy szpiegostwa i przekazano w ręce SS.

Przeszedł okrutne śledztwo i kto wie, czy nie skończyłby na placu egzekucyjnym, gdyby nie nagła akcja wojsk radzieckich, które zdobywając daną miejscowość, uwolniły Hoschtalka, zabierając go do niewoli.

Po dwóch tygodniach pobytu w przyfrontowym obozie zdołał udowodnić, na podstawie zachowanych dokumentów, swój pobyt na wielkich budowach w ZSRR i został zwolniony.

Po wojnie, po podziale Wiednia na strefy — dzielnica, w której mieszkał dostała się do „zony” radzieckiej. Dla wielu wiedeńczyków był to dramat, ale dla Hoschtalka, otwarcie wyznającego komunizm, fakt ten wyszedł na plus. W skróconym terminie pogłębił studia i w dniu 1 października 1945 r., z tytułem docenta, rozpoczął pracę w wiedeńskiej Hochschule für Bodenkultur.

Ale komunizm i komuniści, nawet tacy porządni jak Hoschtalek, nie budzili w Austrii ani zrozumienia, ani uznania. Zwłaszcza w Wiedniu, który był wówczas i jest nadal, obok Paryża, miastem o szczytowym rozwoju wszelkich form kultury i elegancji. Nic też dziwnego, że dominującym uczuciem był tu strach przed brudnymi i brutalnymi formami komunizmu radzieckiego, a miastem rządzili w dyskretnej formie przedstawiciele sektora amerykańskiego.

Stan taki odbił się także na docencie Hoschtalku, który mimo świetnej opinii jaką się cieszył na uczelni, został zwolniony z dniem 30 września 1951 r. i pozbawiony prawa nauczania w szkolnictwie wyższym.

Tego samego miesiąca podjął pracę jako zarządca majątku węgierskiego w Austrii: dobra ziemskie i leśne oraz fabryki i zakłady przemysłowe. Podlegał w całości odpowiednim władzom w Budapeszcie. Sprawy na styku interesów obydwu państw były mocno skomplikowane, co nie ułatwiło pracy Hoschtalkowi. Ale jakoś tam dawał sobie radę do momentu, gdy pod koniec grudnia 1960 r. ostatni obiekt węgierski przeszedł w ręce austriackie.

W styczniu 1961 r. przeszedł na poważnej wysokości emeryturę i zaczął wreszcie spokojny żywot w swej siedzibie przy Schottenfeldgasse 17, Wien VII, przy boku bardzo kochanej staruszki, matki.

Ale wypoczynek i spokój nie leżał w naturze Hoschtalka. Zakupił pod Wiedniem „zieloną parcelę”, na której wybudował luksusową „daczę”, wyposażoną w kompletną „kulturę mieszkaniową”: jak bogaty księgozbiór, sanitariat, oranżeria i to wszystko, co mogło radować starszego pana. Tu przebywał w soboty i niedziele, dłubiąc w morelowym sadzie, kwiatkach i wspomnieniach. Najczęściej na krakowsko-sądecko-rożnowskie tematy.

Zresztą polskie reperkusje u Hoschtalka nie kończyły się na wspomnieniach.

Był w Polsce w latach sześćdziesiątych, zaproszony przez Politechnikę Gdańską, w której w tym okresie, pracował inż. Balcerski jako wykładowca. Tydzień bawił jako gość dziekana Uniwersytetu Warszawskiego. Brał również udział, jako delegat, w Międzynarodowym Kongresie Esperantystów w Warszawie. Będąc w Polsce odwiedził wszystkich znajomych i przyjaciół z lat wojny.

Poza tym miał z Polską stały kontakt jako członek Austriacko-Polskiego Towarzystwa w Wiedniu, skąd regularnie otrzymywał czasopismo „*Nowa Polska*”.

A co otrzymał od „*Nowej Polski*” w dowód uznania? Nie za wiele, ot, symboliczną „złotówkę”.

Po serii artykułów na temat zapory i Hoschtalka, które podpisany opublikował w „*Wieściach*”, a które poparł prof. Balcerski specjalnym zaświadczeniem z dnia 10 listopada 1965 r., Rada Państwa, na wniosek zarządu Głównego ZBOWiD w Warszawie, nadała inż. Hoschtalkowi Złoty Krzyż Zasługi, wręczony mu w 1966 r. przez ambasadora PRL w Wiedniu.

Odnaczenie było dla inżyniera dużą satysfakcją. Oczywiście nie w sensie materialnym. W zasobach majątkowych posiadał sporo złota w różnej postaci. Nie w orderach, którymi go władze austriackie, z tytułu przekonań politycznych i światopoglądowych, nie obsypały. Polski krzyż przyjął jako kawałek serca ciepłego wdzięcznością za to, co przecież winien był zrobić jako Człowiek. Bo tak Hoschtalek pojmował sens Człowieczeństwa i internacjonalistycznego Braterstwa.

Poza tym, mimo pozornego samotnictwa, inżynier nie żył samotnie; miał w ogrodzie śliczną sarenkę, tak zakochaną w swoim chlebodawcy, że sobotnim rankiem, gdy „pan” zwykł był przyjeżdżać, stała przy furtce ogrodu, pełna wyczekiwania i niepokoju.

Aż raz stała bardzo długo — daremnie. Tym razem bowiem, „pan” pojechał inną drogą, w najdalszą podróż — w głąb wieczności.

Małgorzata Kieres, Maciej Zaremba

NIE TYLKO KILIMANDŻARO

Do tej egzotycznej wyprawy na Dach Afryki przygotowywaliśmy się prawie rok. Zaczęliśmy od gromadzenia niezbędnych informacji, co było trudniejsze niż przypuszczaliśmy. Okazało się, że przez 40 lat opublikowano w Polsce tylko 4 artykuły w fachowej i popularnej prasie na temat Kilimandżaro. Udało się nam dotrzeć do trzech z nich. W tej sytuacji nieocenione okazały się informacje i materiały uzyskane od **Piotrka Gawłowskiego** z Oddziału PTT w Bielsku Białej, który na najwyższym szczycie Afryki stanął rok wcześniej. Pozwoliły one na szczegółowe opracowanie planu wyprawy oraz sporządzenie wykazu potrzebnego ekwipunku. On też polecił nam agencję turystyczną Wonderworld Safaris Ltd w Arushy, której zleciliśmy organizację pobytu na miejscu.

Zaczęliśmy od obowiązkowych szczepień w Katowicach przeciw żółtej febrze i cholerze. Okazało się, że słusznie, bo międzynarodowa książeczka szczepień była pierwszym dokumentem sprawdzanym po wylądowaniu w Tanzanii. Trzeba było ściągnąć angielski lek przeciw malarii, zarezerwować bilety lotnicze u agenta KLM, zaopatrzyć się w odpowiedni sprzęt, no i zadbać o kondycję. Tę zdobywaliśmy podczas cotygodniowych wyjazdów w Tatry oraz podczas sierpniowej wyprawy na trzytysięczniki w Pirenejach. Wydawało się nam więc, że byliśmy doskonale przygotowani do tej wyprawy. Na miejscu okazało się jednak, że posiadane informacje nie były dość precyzyjne, a afrykańska rzeczywistość okazała się trochę inna, pełna zaskakujących, mniej lub bardziej przyjemnych niespodzianek, i trudnych do przewidzenia sytuacji.

Wreszcie 12 września 1994 r. nasza trzyosobowa grupa składająca się z **Elżbiety Luchowskiej-Gorczy, Małgorzaty Kieres i Macieja Zaremby** wraz z połączonym bagażem wsiadła na Okęcie do Boeinga 737, by po dwugodzinnym locie

znaleźć się w Amsterdamie. Tu popołudnie wykorzystaliśmy na zwiedzanie tramwajem wodnym tej przepięknej „Wenecji północy”, by następnego dnia przed południem wsiąść tym razem do 440-miejscowego Boeinga 767. Po 10-godzinnym locie wylądowaliśmy po ciemku na Kilimanjaro International Airport, położonym u podnóża tej legendarnej góry, już na półkuli południowej, w Tanzanii. Bielejącą lodową czapę Kilimandżaro widzieliśmy na tle rozgwieżdżonego nieba w trakcie dwugodzinnej jazdy (lewą stroną szosy — to pozostałość po ponad 40-letnim panowaniu brytyjskim) do Marangu, sporej wioski rozłożonej na zboczach tej góry, zamieszkałej przez plemię Czagga. Zostaliśmy ulokowani w przytulnym hotelu Babylon Lodge, gdzie zasypialiśmy przy akompaniamencie chóru świerszczy, zastanawiając się jednocześnie, czy z uwagi na panujący chłód, naprawdę jesteśmy w Afryce. Następnego dnia poświęciliśmy na aklimatyzację, pertraktacje dotyczące programu naszego pobytu, a raczej jego kosztów, z szefem Wonderworld Safaris Ltd, oraz na zwiedzenie Marangu, rozległej, 10-tysięcznej wioski, pełnej plantacji bananów, papai, avocado i kawy, wspaniałej zieleni, kwitnących na biało, czerwono i fioletowo potężnych drzew o specyficznym duszącym zapachu. Miejscową atrakcją jest malowniczy wodospad na rzece Una, koło którego udało nam się spotkać pierwszego afrykańskiego zwierzaka — zabawnego, niewielkiego kameleona. To piękniejsze oblicze Afryki. Widzieliśmy też panujące tam ubóstwo, bezrobocie i częste choroby. Tanzania jest jednym z najbiedniejszych krajów afrykańskich, a średni miesięczny zarobek wynosi 10.000 szylingów, czyli 20 dolarów, co wystarcza na jeden bochenek chleba lub, jak kto woli, na jedną butelkę piwa dziennie. Nie ma tam prawie przemysłu, więc jedynymi źródłami dochodów są rolnictwo i turystyka, co daje zatrudnienie tylko części ludności. Podstawowym więc zajęciem mężczyzn jest siedzenie „w kucki” przy drodze i ewentualnie leniwa rozmowa. Na brak zajęć nie narzekają natomiast kobiety, które pracują w domu, obejściu i na polach, noszą na głowach towary i handlują nimi, a przy okazji tego wszystkiego wychowują dzieci. Socjologowie zresztą potwierdzają nasze obserwacje. Według nich na afrykańskim mężczyźnie spoczywają trzy obowiązki: wybudowanie domu, sporządzenie narzędzi (by kobieta miała czym pracować) i spłodzenie dzieci. Naszej męskiej części ekipy bardzo się ten społeczny podział pracy podobał. I na koniec dnia samochód dowiózł nas na wysokość 1830 m n.p.m. do Marangu Gate, czyli pod bramę istniejącego od 1973 r. Parku Narodowego Kilimandżaro, skąd następnego ranka mieliśmy rozpocząć wyprawę życia. Tu zaczyna się Marangu Road, czyli jeden z dziewięciu szlaków prowadzących na szczyt. Szlak najpopularniejszy i co tu dużo mówić — najłatwiejszy.

Obok postawiono obelisk z tablicą poświęconą lipskiemu geografowi **Hansowi Meyerowi**, pierwszemu człowiekowi, który 6 października 1889 r. wraz z austriac-

kim przewodnikiem alpejskim **Ludwigiem Purtschellerem**, po czterech wcześniejszych próbach zdobył Kilimandżaro, ustalając przy okazji jego wysokość na 6010 m npm. O ogromnej śnieżnej górze w głębi Czarnego Łądu, „na zachód od Raphty, na wybrzeżu Azanii” pisał już Ptolemeusz w II wieku n.e. O „etiopskim Olimpie niebywalej wysokości” wspominał w 1519 r. portugalski geograf Fernandes de Encisco. Jednak pierwszym Europejczykiem, który widział i opisał śnieżną górę pod równikiem był w 1848 r. niemiecki misjonarz w służbie Brytyjskiego Kościoła Misyjnego — **Johannes Rebmann**. Został jednak przez naukowców uznany za szaleńca i wyśmiany. Twierdzili oni, iż musi to być złudzenie spowodowane odbiciem promieni słonecznych od kryształów kwarcu i wody. Wiarygodność Rebmannowi przywróciły dopiero następne ekspedycje, potwierdzając istnienie śniegu pod równikiem. Trzydzieści lat później baron **Karl Klaus von der Decken** dotarł do wysokości 4200 m npm., gdzie złapała go „śnieżna zawieja”. Pierwszym Polakiem, który 13 marca 1910 r. dotarł do krawędzi krateru był prof. **Antoni Władysław Jakubski**, zoolog z Poznania, a pierwszym, który osiągnął jego najwyższy punkt, był **Jerzy Golcz** w listopadzie 1944 r.

Spory budzi pochodzenie nazwy góry. Rebmann twierdził, że Kilimandżaro oznacza Górę Świętej Wielkości. Opierając się na narzeczach miejscowych plemion, można by użyć określeń — Góra Największego, Siedziba Bogów, Góra Złego Demona Njaro, Dom Boga, Niebiański Zamek, Góra Wody, Góra Karawan, Biała Góra czy Lśniąca Góra.

I kilka podstawowych informacji. Kilimandżaro jest nie tylko najwyższym szczytem Afryki, ale też najwyższą wolnostojącą górą świata. Jest to elipsowato rozciągnięty masyw wulkaniczny o długości 80 km i szerokości 50 km, położony o 3° na południe od równika, na terytorium Tanzanii, tuż przy granicy z Kenią. W Tanzanii Kilimandżaro znalazło się zresztą dość nietypowo. Przed ponad stu laty, panująca m.in. w Kenii angielska królowa **Wiktoria**, podarowała tę górę jako „Diament Afryki” swojemu kuzynowi cesarzowi **Wilhelmowi II**. Królowa Wiktoria jednym pociągnięciem ołówka na mapie spowodowała, że Kilimandżaro znalazło się na terytorium pruskiej kolonii Tanganika. O ogromie masywu świadczy fakt, że jest on widozyczny z 200 km, a nawet z odległej o 330 km Mt Kenia. Posiada trzy wyraźnie zarysowane szczyty. Na zachodzie najstarszy z nich — Shira. Jego działalność wulkaniczna trwała od 750.000 do 250.000 lat temu, a wysokość od tego czasu zmniejszała się o 2.000 m i wynosi obecnie 3.943 m npm. (według innych pomiarów — 4.003 m npm.). Na wschodzie — Mawenzi czynny około 500.000 lat temu o wysokości 5.149 m npm. podlegający intensywnej erozji, stąd po jego kraterze pozostały tylko strome, poszarpane skalne ściany. Wejście wymaga użycia sprzętu alpinisty-

cznego. Próbował Mawenzi zdobyć już **Hans Meyer**, ale udało się to dopiero 29 lipca 1912 r. dr **Fritzowi Klete** i **Eduardowi Oehlerowi**. Wulkaniczny charakter najlepiej zachował kopulasty, najwyższy i najmłodszy z nich, centralnie usytuowany — Kibo. Działalność wulkaniczną rozpoczął 500.000 lat temu, a ostatni łagodny wybuch miał miejsce zaledwie 200 lat temu, choć jeszcze w 1940 r. z krateru wydobywały się siarczanowe gazy i słychać było pomruki. Obecnie składa się z trzech koncentrycznie względem siebie położonych kraterów. Zewnętrzny o średnicy 2.400 m wznosi się najwyżej, a jego krawędź w części południowej w miejscu zwanym Uhuru Peak (Szczyt Wolności) osiąga według pomiarów z 1952 r. wysokość 5.895 m npm. i jest właśnie najwyższym punktem kontynentu. Wewnątrz znajduje się drugi, mniejszy krater, a w jego środku tkwi stożek popiołowy o średnicy 400 m i głębokości 130 m. Ponadto na stokach Kibo znajduje się około 250 tzw. kraterów pasożytniczych, wyrównanych częściowo przez erozję, porośniętych przez roślinność lub zalanych wodą. Niestety, z roku na rok nikną rozslawione przez **Hemingwaya** „śniegi Kilimandżaro”. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu dolna granica wiecznego śniegu schodziła do 4.260 m npm. Z powodu ocieplenia klimatu i coraz większego zanieczyszczenia powietrza, granica ta stale się podnosi i wynosi teraz na stokach zachodnich 5.300 m npm. a na wschodnich aż 5.700 m npm. Obecnie istnieją na Kibo 11 większych lub mniejszych lodowców, ale z pokrywy lodu, która widnieje na mapach z początków naszego stulecia, ocalało obecnie tylko 5%. Pesymistyczne prognozy przewidują, że w 2030 r. śniegi Kilimandżaro będziemy mogli oglądać tylko na starym filmie z Gregory Peckiem i Avą Gardner lub na zdjęciach w tym tomie „*Almanachu*”.

Wejście na Kilimandżaro to jakby wędrówka od gorącego równika do polarnej Arktyki, czyli przez wszystkie strefy klimatyczne. Do wysokości 1.000 m npm. występują sawanny, nad nimi do wysokości 2.000 m npm. rozciągają się pola uprawne i plantacje sizalu, bananów, kawy itp. Powyżej, aż do 3.000 m npm. znajdują się wiecznie zielone, wilgotne lasy równikowe z drzewami kamforowymi, podkarpami, figowcami, drzewami iglastymi i paprociami. Na tej wysokości rodzą się też charakterystyczne chmury otulające wulkan. Następnie lasy zmieniają się w krzewiaste zarośla przechodzące we wrzosowiska, czyli tzw. sawannę alpejską, po której z kolei na wysokości 4.000 m npm. rozpoczyna się strefa łąk alpejskich. Niknie ona 500 m wyżej i pozostaje tam już tylko skalno-pyłowa pustynia.

Nasza przygoda z Kilimandżaro rozpoczęła się rankiem 15 września 1994 r. Hansowi Meyerowi zdobycie szczytu zajęło 9 dni. Nasza wyprawa przewidziana była na 5. Przy bramie parku czekał na nas sympatyczny przewodnik o imieniu **Bethewel**, jego asystent, kucharz i 6 tragarzy, którzy głównie na głowie mieli nieść nasze plecaki, żywność oraz naczynia kuchenne i nakrycia stołowe. Razem 9 osób obsłu-

gi. Przyzwyczajeni do noszenia plecaków na własnych plecach, początkowo czuliśmy się nieswojo w roli „sahibów”. Dość szybko jednak doceniliśmy luksus wędrowki na lekko, gdy jedynym obciążeniem był aparat fotograficzny. Od obsługi różniliśmy się nie tylko kolorem skóry, ale także ubiorem. Podczas gdy byliśmy w krótkich spodenkach i przewiewnych koszulach, oni nosili długie spodnie, grube kurtki i wełniane czapki. Obecnie Murzyna w — pardon — majtkach, można zobaczyć już tylko na starych fotografiach. Widocznie nie wszystkim w Afryce musi być gorąco. Wpisując się do książki wyjść szybko przeglądaliśmy ją szukając polskich śladów. We wpisach z dwóch miesięcy, które obejmowała, znaleźliśmy tylko spotkaną podczas szczepień w Katowicach kilkusobową grupę ze Śląska, jakiegoś studenta z Wielkopolski oraz pracującego na miejscu lekarza. Najwięcej jest Niemców, a następnie Amerykanów, Japończyków, Anglików i Skandynawów. I wreszcie wyruszyliśmy wygodną, łagodnie wznoszącą się drogą, później węższą i bardziej stromą. Szliśmy po niezliczonych korzeniach bujnego lasu tropikalnego, z potężnymi ponad 30-metrowymi eukaliptusami, wspaniałymi lianami, dorodnymi paprociami, nieznanymi nam okazalymi kwiatami. Wokół śpiew ptaków i krzyki przeważnie niewidocznych małp. Z góry co chwila schodzą tragarze turystów mających już przeżycia związane z wyjściem na szczyt za sobą. Od wszystkich słyszymy wesole „jambo”, czyli w języku suahili „cześć”. Będzie to najczęściej słyszane przez nas słowo w Afryce. Tak się do niego przyzwyczailiśmy, że z rozpędu pozdrawialiśmy nim białych turystów, budząc ich wesołość.

W tej bajkowej scenerii, bez większego wysiłku dotarliśmy po trzech godzinach do schroniska Mandara Hut, położonego na sporej polanie leśnej na wysokości 2.730 m n.p.m. Właściwie jest to wybudowany w połowie lat 70. zespół drewnianych „góralskich” domków z 4-osobowymi pokojami. Stojący pośrodku większy budynek to wspólna jadalnia z wieloosobową sypialnią na piętrze. Całość jest oświetlona dzięki bateriom słonecznym. Są też toalety i bieżąca woda. Nasze zaciekawienie wzbudziło stojące nieco dalej, nieczynne obecnie, stare schronisko Bismarck Hut z 1905 r. Po herbacie i biszkoptach Bethewel zaproponował nam spacer do krateru Maundi, oddalonego od Mandary o 15 minut drogi. Towarzyszyły nam przeskakujące z drzewa na drzewo płochliwe małpy. Krater jest niewielki, o średnicy może 150 m, bardzo płytki, zarośnięty trawami i drobnymi kwiatami, ale za to prześlicznie usytuowany. Z jego brzegów rozciąga się wspaniały widok na stronę kenijską oraz na, niestety, zakryte chmurami Mawenzi. Po powrocie czekała na nas obfita kolacja przygotowana w międzyczasie na ognisku przez kucharza. Składała się z zupy z grzankami, smażonych ziemniaków, ryżu, pieczonego kurczaka, kilku sałatek i surówek. Do tego owoce z naszymi ulubionymi papajami, biszkopty i herbata lub kawa. I tak



będzie codziennie, z tym że kurczaka zamieniało czasem mięso wołowe, a poza ziemniakami otrzymywaliśmy przemienne duży talerz makaronu lub ryżu. Noc przyszła szybko, bo w ciągu kilkunastu minut. Przed 19. było już całkiem ciemno, więc o tak nietypowej dla nas porze, a normalnej tutaj, poszliśmy chcąc nie chcąc do domku. Pozostał tylko sen i marzenie o zdobyciu wielkiej góry.

Dzień następny, to 5-godzinny marsz do Horombo Hut na wysokości 3.760 m npm. Początkowo droga pięła się dość stromo przez las, a później w krajobrazie przypominającym sawannę. Na wysokości prawie 3.100 m npm. wyszliśmy już na dobre z lasu i stanęliśmy jak wryci. Przed nami rozpościerał się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie mogliśmy podziwiać na trasie naszej wędrówki. Po lewej stronie Kibo z dwoma czapami lodowymi, a po prawej groźnie wyglądające, ciemne i poszarpane Mawenzi, które z tej strony wydawało się znacznie potężniejsze niż Kibo. Po krótkiej sesji zdjęciowej trzeba było iść dalej. Teraz już w całkiem innej scenerii, wśród rozległych wrzosowisk, rozkwitających rododendronów, kaktusopodobnych lobelii i chyba najbardziej fotogenicznych sięgających 7 metrów senecji. Niestety, coraz częściej zaczął pojawiać się dokuczliwy, wciskający się wszędzie kurz, towarzyszący nam zresztą podczas całego pobytu w Afryce. Gdy dotarliśmy do schroniska, nasze nogi niewiele się różniły kolorem od nóg czarnoskórego przewodnika. Zmycie gęstej mazi składającej się z kurzu i tłustego kremu ochronnego było na prawdę dużą sztuką.

Horombo Hut położone jest na łagodnym zboczu, porośniętym krzewami i prze-



ciętym głębokim jarem, w którym, pośród wyjątkowo dorodnych senecji, wije się strumyk. Domki podobne jak w Mandarze, ale jest ich więcej. Muszą pomieścić tych którzy pójdą jak my w górę, tych, którzy wracają już w dół, a także mniej wprawnych, którzy dla lepszej aklimatyzacji zostają tu na drugi, dodatkowy nocleg. My, wierząc we własne siły, nie skorzystaliśmy z tej możliwości. Mimo że przed wieczorem zaczęło się robić coraz zimniej, nie mieliśmy ochoty chować się w naszym ciasnym domku. Z rozbawieniem obserwowaliśmy baraszkujące wśród kamieni gryzonie, przypominające trochę myszy, ale większe, o puszystym jasnobrązowym futerku w paski jak u warchlaków. Natomiast na dachach domków majestatycznie siedziały olbrzymie czarne ptaszyska, podobne do kruków. No, a pod nami rozciągało się bezkresne morze chmur, które mogliśmy podziwiać także przez następne trzy dni. Po zmroku porównywaliśmy też roziskrzone tysiącami gwiazd równikowe niebo, z tym znanym nam, ale nieco innym niebem, daleko stąd, na północy, w Europie.

Rankiem obudziło nas zimno, a w umywalni ślizgaliśmy się po zamrożniętej wodzie. Na szczęście dość szybko, razem z promieniami słońca zaczęło się ocieplać, więc w pogodnych nastrojach ruszyliśmy w drogę, do położonego już na wysokości 4.730 m n.p.m. Kibo Hut. W miarę naszej wędrówki krajobraz stawał się coraz bardziej wysokogórski, a roślinność coraz uboższa. Mimo drastycznych różnic temperatur pomiędzy dniem a nocą, rośnie tu ponad 50 gatunków roślin kwiatowych.



Zachwycaliśmy się ich różnorodnością. Na wysokości 4.050 m n.p.m. napotkaliśmy tabliczkę z napisem „last water point” (jaka tam water? — było to raczej niewielkie bagienne miejsce). Dotarliśmy wreszcie do przełęczy Wielkie Siodło, położonej na wysokości 4.400 m n.p.m. pomiędzy Kibo a Mawenzi. Krajobraz łączył się księżycowy. Nie widać prawie śladów życia, nie licząc pojedynczych kępek traw i schodzących w dół, mocno zmęczonych turystów. Kurz, piach i porzucane gązdy, mająca w dali sylwetka Kibo Hut, snujące się wokół gęste chmury i przenikliwy zimny wiatr, towarzyszyły nam jeszcze przez kilka kilometrów. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego miejsce to określa się poetycką nazwą „Brama mgieł”. I właśnie na tym ostatnim odcinku, podczas monotonnej wędrówki, niektórzy z nas zaczynają odczuwać pierwsze skutki wysokości — osłabienie i ból, a raczej ucisk głowy oraz klatki piersiowej. Nic dziwnego, bo przecież zbliżamy się prawie do wysokości Mont Blanc. Wreszcie Kibo Hut. To długi murowany budynek, z kilkoma 12-osobowymi salami o piętrowych łózkach. Obok kuchnia, pomieszczenia dla obsługi oraz zaskakująco czyste „wygódki”. Najpierw krótki odpoczynek. Maciek wybrał łóżko „na piętrze”, stwierdzając ku ogólnej radości, że to dla lepszej aklimatyzacji, zawsze to 1,5 metra wyżej. W naszej sali ulokował się też młody Amerykanin oraz dwóch wesołych Szwajcarów, z dotychczasowym rekordem wysokości 1.600 m n.p.m. Gdy kucharz przyniósł im na kolację grochówkę, ucieszyli się: „ooo, turbo”. Po posiłku wcisnęliśmy się w śpiwory (Szwajcarzy nawet w czapkach i rękawiczkach) i spróbowaliśmy drzemki. Trudno jednak spać na tej wysokości. Jednym, z powodu różnego rodzaju fizy-

cznych dolegliwości, a innym z emocji. Najwyższy szczyt kontynentu jest już przecież prawie na wyciągnięcie ręki. Zdajemy sobie jednak sprawę, że wszystko to, co trudne, jest dopiero przed nami i czy nam się uda, rozstrzygnie się już za kilkanaście godzin. A przeczytane przez nas przed wyjazdem relacje nie są zachęcające, gdyż wynika z nich, że dla większości śmiazków próba pokonania Kilimandżaro kończy się niepowodzeniem właśnie na odcinku, który nas niedługo miał czekać. Wśród tych, którym się nie powiodło, są nie byle jakie nazwiska. Nie podołał trudnościom astronauta **Neil Armstrong**, pierwszy człowiek, który spacerował po Księżycu. Zalał się też organizm samego... Sir **Edmunda Hillary'ego**! Tak, tego samego, który w 1953 r. jako pierwszy człowiek stanął na Mount Evereście.

My nie mieliśmy jednak zamiaru dołączyć nawet do tak wyborowego towarzystwa. Po północy czekała nas pobudka i, po lekkim posiłku, rozpoczęliśmy z Bethewelem i jego asystentem żmudną, 1000-metrową wspinaczkę zygzakami bardzo stromym i co najgorsza pyłowo-piarystym zboczem. Bardzo przydały się tu nasze składane kijki. Na szczęście, przynajmniej na razie, nie było bardzo zimno, gdyż temperatura nie przekraczała 10° poniżej zera. Co ważne, nie było zupełnie wiatru. Na niebie iskrzyło się tysiące gwiazd, a księżyc oświeślał drogę tak jasno, że nie musieliśmy używać przygotowanych latarek. Unosząc głowy, widzieliśmy ciągle nad sobą krawędź krateru, która zdawała się być tuż, tuż. Jednak mimo mozolnego posuwania się godzina za godziną zakosami w górę, jakoś nie chciała być bliżej. Na wysokości 5.150 m npm. dotarliśmy do Jaskini Hansa Meyera, która okazała się doskonałym miejscem na odpoczynek. Dość szybko musieliśmy zwolnić miejsce dla następnych grup podchodzących z dołu. Później było niestety gorzej. Im wyżej, tym mniejsza wydolność fizyczna, oddech stawał się krótszy i płytszy. Coraz dłuższe i częstsze stawały się przystanki dla jego wyrównania. Robiliśmy je nawet co kilkadziesiąt kroków. A w dodatku ten piarg usuwający się cały czas spod nóg. Normalną sprawą są tu bóle głowy, osłabienie, nudności, gwałtowna senność. Dwie osoby z naszej grupy jakoś dawały sobie radę, ale trzecia niestety mieściła się w „normie”. Fatalnie czuli się także obaj przewodnicy, których musieliśmy ratować lekami z naszej apteczki. Robiło się też naprawdę zimno. Przed wschodem słońca temperatura spada tam do 22–25° poniżej zera. Około godz. 6 niebo nad Mawenzi poczerwieniało i stało się nieco jaśniejsze. Wkrótce pojawił się czerwony rąbek słońca i w ciągu kilku minut na niebie błyszczała już olśniewająca kula. Dla tego krótkiego spektaklu, który zgotowała nam niedościgniona natura, warto było stoczyć walkę ze zmęczeniem, z samym sobą. Słońce spowodowało, że zaczęło się robić coraz cieplej. I wreszcie około godz. 7.30 osiągnęliśmy brzeg krateru w punkcie zwanym Gillman's Point, czyli wysokość 5.685 m npm. Wejście tutaj uważane jest już za



zdobycie Kilimandżaro i honorowane jest później przez dyrekcję parku dyplomem w kolorze zielonym. Prawie wszyscy turyści też na tym poprzestają. My mieliśmy, oczywiście, ambicję osiągnięcia najwyższego punktu na kraterze, odległego jeszcze o 1,5 godziny marszu i znajdującego się na wysokości 5.895 m n.p.m. czyli Uhuru Peak, co daje prawo otrzymania dyplomu w kolorze złotym. Prawdopodobnie z powodu niedotlenienia mózgu, byliśmy jakby w półśnie. Na tej wysokości jest tylko 1/3 tej ilości tlenu co na nizinach. Po dłuższym odpoczynku, czekoladowo-rodzynkowym śniadaniu i wpisaniu się do książki pamiątkowej, ruszyliśmy w stronę Uhuru. Trawersując od wewnątrz brzeg krateru, a następnie idąc granią. Podziwialiśmy wspaniałe widoki. Bezchmurne, prawie granatowe niebo z ostrą błyszczącą tarczą słońca, a wokół, poniżej jak okiem sięgnąć, ocean chmur, z którego wyłaniały się dwie wyspy — pobliskie Mawenzi i oddalony prawie o 100 km Mt Meru, cel naszej następnej wspinaczki. Sam krater nas jednak trochę rozczarował. Był płytki, a w dodatku śniegu w nim było niewiele. Jak twierdził Bethewel, śnieg zalega w nim oraz na grani tylko od grudnia do lutego i to w ilościach praktycznie uniemożliwiających dotarcie do Uhuru.

Tymczasem szliśmy cały czas po zakurzonych skałach, nie mając możliwości dotknięcia stopą śniegu. Ten zawód wynagradzały nam wspaniałe, o fantastycznych kształtach lodowce, zarówno z prawej jak i lewej strony oraz dziwne lodowe „mni-cha”, czyli penitenty, występujące jeszcze tylko w dwóch innych miejscach na Ziemi. I wreszcie doszliśmy do tabliczki z napisem Uhuru Peak. Obok skrzynia z książką



This is to Certify that

Mr./Mrs./Miss MAGIEJ ZAREMBA

*has successfully climbed Mount Kilimanjaro
the highest peak in Africa, right to the
Summit - Uhuru Peak - 5895 m.*

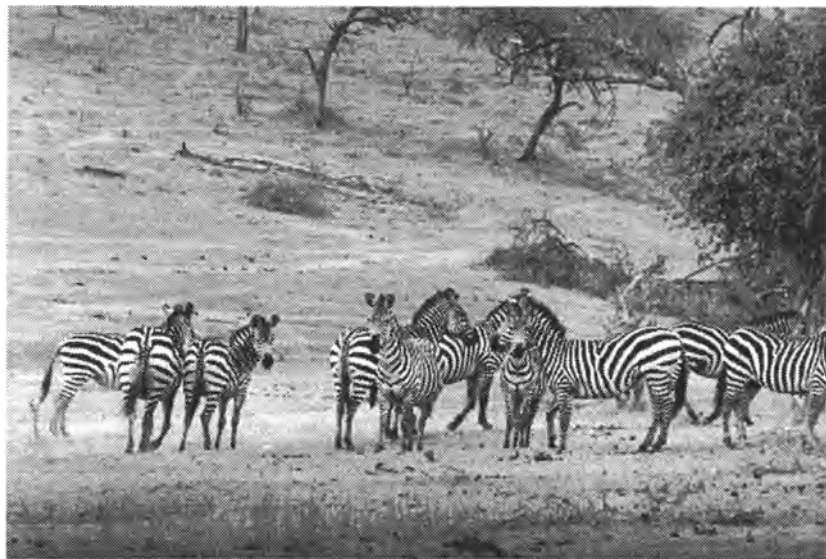
Date 18.09.1994 *Time* 10¹⁵ *Age* 50

BECKERS
GUIDE

W. J. M. J.
PARK WARDEN
Mt. Kilimanjaro National Park

P. M. M. M.
DIRECTOR GENERAL
Tanzania National Parks

CERTIFICATE No. 6578/94



pamiątkową. Wpisujemy się pod datą 18 września 1994 r. o godz. 10.15. Po powrocie na Gillman's Point rozpoczynamy zejście, a właściwie zjazd po piargu w dół. Dopiero teraz zyskaliśmy wyobrażenie, jaką potworną drogę pokonaliśmy w nocy. W Kibo Hut czekał na nas posiłek, po którym zaczęliśmy schodzić do niżej położonego Horombo Hut, gdzie dotarliśmy przed wieczorem. Po noclegu, tym razem w większej sali nad jadalnią, kolejne 2.000 m w dół i koło południa znaleźliśmy się już przy bramie parku. Tu czekały na nas gratulacje i złote dyplomy o numerach 6.578–6.580. Bilans tych 5 dni to pokonanie 112 km oraz uzyskanie przewyższenia 4.065 m. Potem przejazd do naszego Babylon Lodge, gdzie czekała nas kąpiel, trzepanie i pranie, pranie. Podczas tej ostatniej czynności przytrafiło się nam zabawne zdarzenie. Maciek naraził na szwank honor białych mężczyzn, gdy został „przyłapany” przez obsługę hotelu na wieszaniu wypranych koszul. Odtąd kierownik hotelu przestał tytułować go „Sir” i zwracał się do niego zwykłym „Mister”. A na zakończenie dnia nie obyło się bez specjalnie przywiezionej z kraju butelki szampana dla uczczenia sukcesu. Każdego dnia ktoś z nas pobijał jakieś swoje wysokościowe rekordy. A to rekord dotychczasowej wysokości, a to nocleg na większej wysokości. Spełniły się nasze marzenia o zdobyciu najwyższej góry Afryki. A jednocześnie niektórym nasunęła się refleksja, że być może już nigdy nie będą wyżej.

Druga część naszej afrykańskiej przygody to udział w safari. Oczywiście tylko fotograficznym. Ten 6–dniowy bezpośredni kontakt z dziką, egzotyczną dla nas przy-



rodą, dostarczył tyle niezapomnianych wrażeń, że mógłby być tematem na osobne opracowanie. A więc tylko skrótowo. Tanzania posiada 11 parków narodowych, 16 rezerwatów i 57 innych obszarów chronionych. My w dniach 21–26 września odwiedziliśmy cztery parki: Tarangire, Jezioro Manyara, Krater Ngorongoro i chyba najbardziej znany — Serengeti. W sumie, specjalnie do tego przystosowanym mikrobusem „Nissan”, przejechaliśmy ponad 900 km. Każdy z parków jest inny w swoim charakterze i oferował inne przeżycia. Podobnie jak większość turystów, tak i my inaczej wyobrażaliśmy sobie safari. Do zwiedzania udostępniona jest tylko część parku, w którym obowiązuje surowy regulamin. Samochody mogą poruszać się wyłącznie wytyczonymi ścieżkami, z których nie wolno zbaczać. Nie wolno też opuszczać samochodu. Czuliśmy się trochę jak w ZOO. Z tą jednak różnicą, że to my byliśmy zamknięci w klatce (czyli w samochodzie), a wędrujące wokół zwierzęta przyglądały się nam ciekawie. Mimo tego byliśmy zachwyceni, tym co widzieliśmy. A mieliśmy okazję zobaczyć prawie wszystkie dzikie zwierzęta Afryki wschodniej: zebry, żyrafy, strusie, dzikie świnie, potężne bawoły, stada antylop gnu, gazy Thompsona, Impala i Granta, hipopotamy, nosorożce, różne gatunki małp, hieny, lamparty, niezliczoną ilość gatunków ptaków. Wędrowaliśmy razem ze stadami słoni, fotografowaliśmy z odległości zaledwie 3–4 metrów odpoczywające lwy. Trafił się nam nawet taki spektakl, jak nieudane zresztą polowanie dwóch młodych lwów na samotną gazelę. A wszystko to na tle fascynującego krajobrazu sawanny. Noce spędzaliśmy w namiocie na nieogrodzonych campingach. Dostarczało to dodatkowych emocji.

Podczas długich afrykańskich nocy po obozowisku kręciły się małpy, zebry, marabuty czy hieny. Bezpieczeństwo miała nam zapewnić lampa naftowa, stawiana przez przewodnika co wieczór przed namiotem. Dodatkową nieprzewidzianą atrakcją była klasyczna fatamorgana, którą obserwowaliśmy przez kilkadziesiąt minut podczas jazdy w kierunku Serengeti.

Obszary, które przemierzaliśmy w czasie naszego safari to kraj Masajów. Oglądaliśmy ich charakterystyczne wioski składające się z kilku okrągłych chat bez okien, zbudowanych z ziemi zmieszanej z bydłecymi odchodami oraz pokrytych gałęziami i liśćmi. Dumnie i dziko wyglądające postacie Masajów z nieodłącznymi dzidami, znacznie różniły się od innych „cywilizowanych” i po europejsku ubranych Murzynów, z którymi dotychczas mieliśmy do czynienia. Budziły szacunek dla plemienia, które u progu XXI wieku opiera się jeszcze cywilizacji, stanowiąc enklawę w epoce unifikacji kultur.

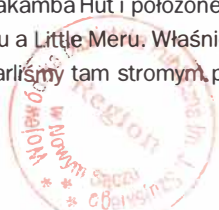
Po emocjach związanych z safari przyjechaliśmy do największego miasta na naszej trasie, czyli 100-tysięcznej Arushy. Tam w hoteliku położonym blisko centrum, ale w spokojnej, bocznej uliczce, prowadzonym przez Angielkę, czekało nas kolejne trzepanie z kilogramów kurzu i pranie wszystkich rzeczy. A następny dzień, tzn. 28 września, to początek już trzeciej części naszego programu, czyli wejście na drugi pod względem wysokości szczyt Tanzanii — Mt Meru, a jednocześnie najwyższy czynny wulkan w Afryce. Jego wysokość wynosi 4.565 m n.p.m. choć w przeszłości był znacznie wyższy. 250 tysięcy lat temu olbrzymi wybuch uszkodził krater i jego wschodni brzeg zapadł się, a spływająca w dół lava utworzyła niezwykle malowniczy krajobraz z kilkoma słonymi jeziorami Momela. Na tym terenie znajduje się obecnie Park Narodowy Arusha, z wyjątkową ilością bujnej roślinności, z wszystkimi poza lwami zwierzętami charakterystycznymi dla tej części Afryki. Największą atrakcją parku są olbrzymie stada flamingów brodzące po jeziorach Momela. Ostatni wybuch miał miejsce w 1910 r. Wówczas, pośrodku głównego krateru, powstał niezwykle regularny stożek — Crater Meru, a gorąca woda wypływa z niego od czasu do czasu aż do tej pory. W najbliższej okolicy znajduje się wiele mniejszych lub większych nieczynnych kraterów. Najbardziej znany z nich to Ngurdoto Crater o średnicy 3 km, który był prawdopodobnie pierwotnym wulkanem Meru, a w zagłębieniu którego (podobnie jak w 7-krotnie większym Ngorongoro), żyje w pewnej izolacji stała i wyjątkowo bogata populacja dzikich zwierząt. Szczyt Meru został zdobyty po raz pierwszy przez dra **Carla Uhliga** w dniu 20 września 1901 r. a więc jeszcze 9 lat przed ostatnim wybuchem.

Organizacja 3–4 dniowej wyprawy na Meru wygląda podobnie jak na Kilimanżaro — przewodnik, kucharz, tragarze, noclegi w schroniskach usytuowanych co

1.000 metrów, nocne rozpoczęcie ataku na szczyt. Na główny wierzchołek (gdyż jest też drugi, niższy szczyt Little Meru — 4.085 m n.p.m.) wychodzi dziennie zaledwie kilka, a najwyżej kilkanaście osób. A szkoda, bo jak się później okazało, wyjście jest bardziej urozmaicone i trudniejsze technicznie niż na Kilimandżaro. Również widoki ze szczytu są chyba piękniejsze. Choćby dlatego, że z Mt Meru widać to, czego nie można zobaczyć z Kilimandżaro — czyli Kilimandżaro. Wygląda na to, że Kilimandżaro to góra dla snobów, którym imponuje tytuł zdobywcy najwyższego szczytu kontynentu, natomiast wejście na niższe o ponad 1.300 m Mt Meru, to wyprawa dla prawdziwych turystów, miłośników gór.

Wysłużonym Land Roverem w niesamowitym kurzu dotarliśmy do Momela Gate, czyli bramy Parku Arusha. Tu przywitaliśmy się z 8-osobową obsługą: uzbrojonym strażnikiem parku o imieniu **Joseph**, pełniącym jednocześnie funkcję przewodnika, kucharzem i 6 tragarzami. Po kilku minutach marszu i rozmowy z Josephem wyjaśnił się powód jego uzbrojenia, czyli wzbudającego nasze zdumienie jednostrzałowego karabinu, eksponatu sprzed chyba I wojny światowej, w dodatku przewieszzonego przez ramię na sznurku. O ile podczas poprzedniego safari nie wolno nam było opuszczać samochodu, to Park Arusha mieliśmy pokonać pieszo. I rzeczywiście, już na samym początku wędrowki minęliśmy spore stada bawołów i żyraf. Na naszą uwagę, że jego karabin nadaje się prawdopodobnie tylko na ptaki, Joseph obruszył się i otworzył zamek pokazując nabój rzeczywiście imponującego kalibru, w sam raz na grubego zwierza. Mieliśmy nadzieję, że nie był to jedyny nabój, który posiadał. Drapieżników na szczęście, choć może to i szkoda, nie spotkaliśmy. Po prawie 4-godzinym marszu najpierw, przez sawannę, a potem tropikalny las dotarliśmy do położonego na wysokości 2.750 m n.p.m. schroniska Miriakamba Hut. Są to dwa długie drewniane budynki z dużymi salami i piętrowymi łóżkami, obok jak zwykle kuchnia, czyste toalety i pomieszczenia dla obsługi. Jedynym gościem oprócz nas był tylko student Oxfordu, podróżujący od dwu miesięcy po Afryce.

Następnego dnia, rozpoczętego podziwianiem przepięknego jak zawsze wschodu słońca, wyruszyliśmy do schroniska Saddle Hut położonego na 3.750 m n.p.m. Aż do wysokości 3.500 m n.p.m., droga prowadziła przez niezwykle bujny tropikalny las, którego górna granica sięga znacznie wyżej niż na Kilimandżaro. Później szliśmy wśród karłowatych drzewek, pięknych paproci, kolorowych kwiatów i ostów większych od ludzi. Cały czas towarzyszył nam wspaniały widok na Kilimandżaro. I po 4 godzinach dotarliśmy do Saddle Hut, schroniska zbudowanego podobnie jak niższe Miriakamba Hut i położonego, jak sama nazwa wskazuje, na przełęczu pomiędzy Mt Meru a Little Meru. Właśnie Małe Meru było celem naszej popołudniowej wycieczki. Dotarliśmy tam stromym podejściem po godzinie. Na szczycie tabliczka z wysoko-



ścią — 13.400 stóp, czyli 4.085 m n.p.m. i zachwycające widoki na wszystkie strony. Niestety, nadciągające chmury i coraz silniejszy wiatr zmusiły nas do wcześniejszego niż planowaliśmy zejścia. Wieczorem w schronisku zaczęło się robić tłoczno, gdyż dotarła tutaj grupa studentów z Arushy. Przyglądaliśmy się im z zaciekawieniem, ponieważ czarnoskórzy turyści należą w Afryce do niezwyklej rzadkości. No bo tak na prawdę, to po co pchać się bez potrzeby tak wysoko w góry. Ci jednak widocznie nie mieli wyboru, gdyż przyprowadziło ich dwóch angielskich profesorów. Wbrew naszym obawom, młodzież okazała się bardzo spokojna i dobrze spaliśmy do pobudki, która nastąpiła tym razem po 2. W kilkadziesiąt minut później wyruszyliśmy w towarzystwie nowego przewodnika, który kazał się nazywać **Mr Godwine** (czyli Pan Boskie Wino), tragarza i kucharza. Później okazało się że ten ostatni poszedł z nami tylko po to, by wynieść na szczyt jedną paczkę herbatników!

Wejście na szczyt jest długie i męczące, ale dość urozmaicone — usuwający się spod nóg piarg na zmianę ze skalnymi perćkami. Większą część wysokości pokonaliśmy na początku, wspinając się stromo w górę. A potem już cały czas trochę w górę i trochę w dół. Trudności może trochę większe niż na Zawracie. Jeden „koń”, trochę stromych skalnych trawersów i parę niewielkich wspinaczek z koniecznością użycia rąk. Świt zastał nas ponad 2 godziny drogi do szczytu. Mimo przenikliwego zimna, zajęliśmy wygodne siedzące miejsca na piargu i z gotowymi aparatami fotograficznymi obserwowaliśmy to jedyne w swoim rodzaju widowisko. Pod nami morze gęstych chmur, „wyrastające” z niego Kilimandżaro i wylaniająca się z prawej strony tej góry czerwona tarcza. W jej promieniach, skały nabrały niepowtarzalnej rudo-ceglastej barwy. Kiedy zrobiło się już całkiem jasno, ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że na skalno-piarystym podłożu na wysokości 4.400 m n.p.m. rosną piękne kwiatki. Wreszcie po 6,5 godzinach wspinaczki osiągnęliśmy szczyt Mt Meru. Była godzina 9, 30 września. Mieliśmy przed sobą, a raczej pod sobą, zapierający w pierś widok. Chmury z dołu rozeszły się i doskonale było widać Park Arusha, krater Meru i Ngurdoto, odległe o 30 km miasto Arusha, rozległe sawanny, a nawet tereny lotniska Kilimandżaro. Samo Kilimandżaro, mimo dzielących nas prawie 100 km wydawało się być blisko, jak na dłoni. Wspaniale prezentowało się przede wszystkim Kibo ze schodzącymi z niego lodowcami. Za to Mawenzi wyglądało z tego miejsca jak nic nie znaczący wierzchołek. Dopiero teraz mogliśmy zobaczyć jak rozległy jest masyw Kilimandżaro i jak długą drogę musieliśmy przebyć, by wejść na jego szczyt. W czasie zejścia zachwycaliśmy się przede wszystkim pięknym, typowym Kraterem Meru znajdującym się poniżej Mt Meru, a którego podczas wspinaczki w nocy nie widzieliśmy dokładnie. Po obiedzie w Saddle Hut zeszliśmy do Miriamkamba Hut, gdzie już czekał terenowy samochód, by zwieźć nas w dół. W bramie

parku znów odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów za zdobycie szczytu, a w czasie już nocnej jazdy do Aruszy, mogliśmy się przekonać jak blisko siedzib ludzkich żyją dzikie zwierzęta. Co chwilę w światłach reflektorów przesuwaly się spłoszone bawoły czy żyrafy, uciekały zygawkami malutkie gazyel dikdiki, a nawet pokazał się jakiś drapieżny kot.

Później, w oczekiwaniu na samolot, spędziliśmy tydzień na wypoczynku w Aruszy. Wypełniły go spacer po okolicach, codzienne zakupy tanich owoców na bazarze (kiść z kil-

kunastoma bananami kosztowała niecałe pół dolara) oraz zakupy pamiątek, głównie wykonanych z hebanu różnego rodzaju figurek Masajów i zwierząt. Późnym wieczorem 8 października wystartowaliśmy z lotniska pod Kilimandżaro, by po międzylądowaniu w kenijskiej stolicy Nairobi, następnego dnia rano znaleźć się w Amsterdamie, a o 11 wylądować na Okęciu. Warszawa przywitała nas chłodem i deszczem.

Nie da się opisać tego wszystkiego, co przeżyliśmy i czego doświadczyliśmy w czasie tej miesięcznej wyprawy. To trzeba samemu przeżyć. Kto raz odwiedził Afrykę, będzie chciał podobnie jak my, jeszcze do niej kiedyś wrócić.



90 LAT ODDZIAŁU „BESKID” POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W NOWYM SĄCZU

Część I. Lata 1906 — 1914

Rozwój uzdrowisk na Sądecczyźnie rozpoczął się już na początku XIX wieku w Krynicy, Wysowej, Wapiennem i Szczawnicy, a niewiele później w Żegiestowie i Rabce. Przyjeżdżający „do wód” nie tylko odpoczywali, pili miejscowe wody mineralne czy zażywali kąpeli mineralnych, ale także przy okazji kuracji zwiedzali okolice uzdrowisk. Byli prekursorami dzisiejszych turystów górskich, w znaczeniu chodzenia po górach dla przyjemności, poznania ich piękna i historii oraz mieszkańców gór, ich kultury i zwyczajów. Również dla czynnego wypoczynku niosącego ze sobą korzyści zdrowotne, a nawet dla zaspokojenia pewnych ambicji sportowych. Nie był to jednak ani masowy, ani zorganizowany ruch turystyczny. Potrzeba stworzenia organizacji turystycznych nurtowała mniej więcej w tym samym czasie społeczeństwa w całej niemal Europie. Pierwszą był Alpine Club założony w Londynie w 1857 r. W naszej części kontynentu prekursorami byli Austriacy powołując w 1862 r. Österreichischer Alpenverein. Również na ziemiach polskich nie trzeba było na to długo czekać. W 1873 r. powstało Galicyjskie Towarzystwo Tatrzańskie przemianowane rok później na Towarzystwo Tatrzańskie. W miarę swojego rozwoju i umacniania się organizacyjnego, coraz prężniejsze Towarzystwo zaczęło powoływać kolejne oddziały. Najpierw powstały one na kresach — w Stanisławowie (1876 r.), Czarnohorski w Kołomyi (1876 r.) i we Lwowie (1883 r.). Kolejne to Pieniński w Szczawnicy (1893 r.) i Babiogórski w Makowie Podhalańskim (1905 r.), którego siedziba została przeniesiona do Żywca w 1910 r.

Początki zorganizowanego ruchu turystycznego w Nowym Sączu wiążą się z założonym w 1887 r. Gniazdem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” oraz działalnością środowiska nauczycielskiego.

Pierwszą wycieczkę zorganizował „Sokół” dla swych członków w lipcu 1887 r. do lasu w Naściszowej. Po przejściu w 1905 r. tzw. „jordanówki” założonej przez **Antoniego Kowalskiego** w 1891 r., organizowano dla ćwiczącej tam młodzieży także sobotnie wycieczki i całodzienne „majówki” w okolicach Nowego Sącza. „Sokół” rozwinął też turystykę kolarską urządzając od 1894 r. szereg wycieczek do Szczawnicy, Lubowli, Krynicy, Melsztyna, Okocimia czy Tarnowa.

Z działalnością „Sokoła” związany jest zresztą rozkwit turystyki wśród młodzieży. Szkolna Rada Krajowa we Lwowie powierzyła bowiem z dniem 1 stycznia 1888 r. prowadzenie gimnastyki w cesarsko-królewskim Gimnazjum w Nowym Sączu dr. hom. naczelnikom „Sokoła”, którymi byli kolejno: **Józef Krupski, Julian Janicki, Andrzej Langier, Adam Bieda, Józef Bogusz, Szymon Kopytko, Piotr Zieliński, Bolesław Szurmiak, Antoni Broszkiewicz**. Wycieczki były rejestrowane w corocznych *Sprawozdaniach Dyrekcji ck Gimnazjum Wyższego w Nowym Sączu*. Były to wycieczki zbiorowe, połączone z grami i zabawami terenowymi. Początkowo tzw. „majówki” dla młodzieży całej szkoły, a potem już jako wycieczki klasowe lub oddziałowe, według okólnika z 1896 r. „*bez przygotowań zbiorowych tj. bez poprzednich składok, najętej muzyki, zaproszeń, udziału publiczności, traktamentów*”. Początkowo prawie wyłącznie kondycyjno-rekreacyjny charakter tych wycieczek, zaczął się od 1900 r. zmieniać. Dominowały w nich cele naukowe (historyczne, geograficzne, przyrodnicze) oraz krajoznawcze. Wycieczki prowadzili wszyscy nauczyciele, zarówno wychowawcy klas, jak i wykładowcy historii, geografii czy biologii. Byli wśród nich zaawansowani turyści wysokogórscy jak prof. prof. **Ignacy Król, Józef Bajer, Jan Stryszowski** czy **Józef Rząsa**, organizujący nawet kilkudniowe wyprawy w Tatry. Dominowały jednak wycieczki jedno- i kilkudniowe w Beskid Sądecki, Pieniny, Beskid Wyspowy czy Pogórze Rożnowskie, organizowane i prowadzone przez profesorów **Jana Kmietowicza, Wojciecha Krajewskiego, Antoniego Lenczowskiego, Jana Magierę, Józefa Miczyńskiego, Karola Nikla, Adama Pichora, Edwarda Sucheckiego, Zygmunta Weimera, Saturnina Żytyńskiego** czy katechetę ks. **Michała Klamutę**. Od września 1904 r. do czerwca 1908 r. pracował w nowosądeckim gimnazjum jako nauczyciel języka polskiego, greckiego i łacińskiego, prof. **Kazimierz Sosnowski**, jedna z najwybitniejszych postaci w historii polskiej turystyki. Nie jest więc rzeczą przypadku, że w turystycznej atmosferze tego najstarszego, bo założonego w 1818 r. nowosądeckiego gimnazjum, zdobyli wykształcenie ludzie tej miary co „ojciec” nowoczesnej kartografii **Eugeniusz Romer** (absolwent 1889 r.), organiza-

tor krajoznawstwa młodzieżowego w Polsce **Leopold Węgrzynowicz** (1900 r.), profesor botaniki UJ **Bogumił Pawłowski** (1916 r.), jego brat, dialektolog, profesor WSP w Krakowie **Eugeniusz Pawłowski** (1920 r.) i wielu innych.

Pierwsza próba powołania w Nowym Sączu organizacji ściśle turystycznej miała miejsce w 1904 r. Jak donosił lwowski dziennik „*Słowo Polskie*” z 10 grudnia tegoż roku „*za inicjatywą miłośników naszej przyrody*” zdecydowano utworzyć w Nowym Sączu Towarzystwo Turystyczne „Beskid”, którego celem miało być „*zapoznanie członków, studentów itp. z naszym Beskidem Zachodnim*”. Z nieznanых względów przedsięwzięcie to wówczas się nie powiodło i doszło do skutku prawie dwa lata później.

Wśród Sądeczian byli oczywiście wcześniej członkowie Towarzystwa Tatrzańskiego. Na przykład „*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” z 1899 r. (tom XX) wymienia następujące nazwiska: dr **Władysław Barbacki** — adwokat (od 1900 r. burmistrz Nowego Sącza), **Karol Cieśliński** — ck prokurator, **Wiktor Filipek** — aptekarz, **Karol Gołaszewski** — inżynier kolei transw., **Edward Kostka** — radca sądu obwodowego (późniejszy jego prezes), **Klotylda Kowalska** — nauczycielka szkoły żeńskiej, **Władysław Majewski** — sekretarz sądu obwodowego, **Jan Marynowski** — notariusz, **Jan Szaflarski** — inżynier, **Adam Warzewski** — ksiądz i **Kazimierz Wydrychiewicz** — kandydat notarialny. Z kolei w interesującym nas 1906 r., poza większością z wyżej wymienionych, znajdujemy też („*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*” rok 1907, tom. XXVIII) następujących członków Towarzystwa: dr **Stanisław Flis** — adwokat, Antoni Lenczowski — nauczyciel gimnazjalny, **Karolina Nałepówna** i **Tadeusz Płochocki** — lekarz. Ponadto, w wykazie członków znaleźli się: Magistrat w Nowym Sączu i Reprezentacja miasta Nowego Sącza. Sądeczanie byli również członkami innych oddziałów, jak notariusz **Lucyan Lipiński** (do 1899 r. burmistrz Nowego Sącza), należący do Oddziału Pienińskiego (*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego* rok 1899, tom X). Do Towarzystwa należeli także mieszkańcy okolicznych miejscowości jak podsąddeckiej Nawojowej (**Edward hr. Stadnicki, Helena hr. Stadnicka** oraz rządcą ich dóbr **Jan Maniecki**), Krynicy, Muszyny czy Rożnowa (*Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego* rok 1899, tom XX). Od lat 80. Towarzystwo Tatrzańskie posiadało też w Nowym Sączu swego delegata. Najpierw był nim Franciszek Matyas. Następnie od lat 90. Klotylda Kowalska — nauczycielka, która pełniła tę funkcję do 1911 r. Po niej przejął ją dr **Feliks Borowczyk** — adwokat.

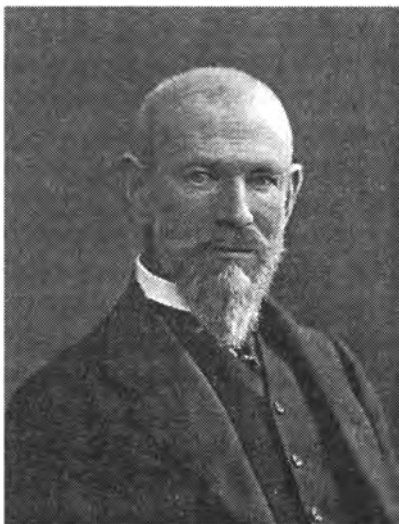
Wreszcie z początkiem 1906 r. Sąddeckie Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych wystąpiło z propozycją utworzenia lokalnego ogniska krajoznawczego. Myśl ta została podjęta i wkrótce zawiązał się 14-osobowy Komitet Założycielski, na czele którego stanął inicjator tej propozycji prof. Antoni Lenczowski. Komitet w dniu 15

lutego 1906 r. przedstawił do zatwierdzenia władzom austriackim Statut Towarzystwa Turystycznego „Beskid”. Uzyskał on akceptację ck Namiestnictwa we Lwowie reskryptem L 23924 w dniu 12 marca 1906 r. W dniu 11 kwietnia 1906 r. Komitet wydał odezwę do „wszystkich ludzi dobrej woli i kraj ojczysty miłujących...”. Jako cele Towarzystwa wymieniono:

- „1) zwiedzanie i badanie Beskidu Zachodniego a szczególnie Sądeckizny, Tatr i Spiżu oraz rozpowszechnianie zebranych wiadomości,
- 2) umożliwienie i ułatwienie młodzieży zapoznania się z temi częściami naszego kraju,
- 3) rozbudzanie pośród społeczeństwa zamiłowania do wycieczek w te części kraju naszego i ułatwienie ich przez zakładanie odpowiednich stacyi turystycznych i schronisk,
- 4) wydawanie przewodników po Beskidzie a przede wszystkim po Sądeckiznie.”

Przewidziano wpisowe w wysokości jednej korony, a składkę roczną dla członka zwyczajnego 6 koron, płatną w ratach kwartalnych lub miesięcznych. Wpłacający 100 koron stawał się członkiem założycielem, a 50 koron — dożywotnim. Powołanie Towarzystwa autorzy odezwę uzasadnili: „*Lecz chcąc poznać, trzeba iść i patrzeć. Zatem turystyka, ale nie taka przygodna i dorywcza, lecz zorganizowana planowo i celowo, opierająca się na jak najszerszem zespoleniu sił i kapitału, jest tą jedyną drogą, po której dojść można do poznania i umiłowania swej ziemi...*”. Odezwę podpisali: Antoni Lenczowski — przewodniczący, **Ignacy Król** — zastępca, **Błażej Sławomirski** — skarbnik, **Bronisław Kryczyński** — sekretarz oraz 10 członków, w tym Kazimierz Sosnowski. Apel z odezwę: „*Zapisujmy się więc tłumnie do Towarzystwa „Beskid”*”, okazał się skuteczny.

Za datę powstania Towarzystwa należy uznać 24 maja 1906 r., kiedy w sali Kasyna przy udziale 47 osób odbyło się pod przewodnictwem dra **Jana Cieszyńskiego** I Walne Zgromadzenie Wydziału Towarzystwa Turystycznego „Beskid”. Na zebraniu tym ukonstytuował się też Zarząd. Jego pierwszym prezesem został **Fryderyk August hr. Breza** — wła-



Fryderyk hr. Breza

ściel dóbr w Witowicach i poseł do Rady Państwa, wiceprezesem Antoni Lenczowski — profesor gimnazjalny, sekretarzem Kazimierz Sosnowski — profesor gimnazjalny, zastępcą sekretarza **Józef Kupczyk** — ck komisarz skarbowy, skarbnikiem Błażej Sławomirski — profesor gimnazjalny. Członkami zostali: **Adam Midowicz** — ck sędzia w Muszynie, **Jan Piskorski** — ck weterynarz powiatowy, **Stanisław Mika** — ck komisarz skarbowy i **Julian Smolik** — ck auskulant sądowy. Ponadto wybrano czterech zastępców członków i trzech członków komisji kontrolującej. Na bibliotekarza powołano Ignacego Króla — profesora gimnazjalnego. Utworzony w ten sposób Wydział liczył 97 członków.

Zarząd niezwłocznie przystąpił do pracy. Hr. Breza, pełniący jednocześnie funkcje prezesa Sądeckiego Okręgu Towarzystwa Rolniczego, ofiarował „Beskidowi” miejsce w lokalu tego Towarzystwa.

Praktyczną działalność „Beskid” rozpoczął 1 lipca 1906 r. skromną 7-osobową wycieczką prowadzoną przez Antoniego Lenczowskiego z Piwnicznej przez Niemcowa, Radziejową i Hałę Konieczną do Rytra. W domku myśliwskim na szczycie Radziejowej udostępnionym przez **Dominika** hr. **Potockiego**, nastąpił odpoczynek. Kolejne wycieczki wyruszyły na Margoń, Konieczną, Radziejową, do Morskiego Oka oraz na trzy dni w Tatry. W imprezach tych wzięły udział łącznie 132 osoby, a rolę przewodników pełnili Antoni Lenczowski, Kazimierz Sosnowski i Ignacy Król. W wyniku coraz większego zainteresowania ze strony członków, ilość wycieczek zaczęła wzrastać i w następnym 1907 r. wyniosła już 18.

Nowosądecki „Beskid” został zaproszony przez istniejące od 1873 r. Towarzystwo Tatrzańskie z siedzibą w Krakowie do przystąpienia na prawach Oddziału do Towarzystwa. Na zebraniu w dniu 16 lipca 1906 r. Antoni Lenczowski przedstawił tę propozycję. Została ona przyjęta i w wyniku prac nad projektem, przedstawiono Walnemu Zgromadzeniu Wydziału „Beskid” w dniu 24 lutego 1907 r. szczegółową propozycję przystąpienia do Towarzystwa Tatrzańskiego na następujących warunkach:

„— Towarzystwo Turystyczne „Beskid” łączy się z Towarzystwem Tatrzańskim jako jego Oddział z zatrzymaniem swej nazwy i pieczęci, z dodatkiem do obu „Oddział TT” i z zachowaniem pełnej autonomii,

Towarzystwo Turystyczne „Beskid” opłaca rocznie Towarzystwu Tatrzańskiemu 2 korony od każdego członka licząc od 1 stycznia 1907 roku,

Każdy członek „Beskidu” zyskuje w zamian pełne prawa członków Towarzystwa Tatrzańskiego,

Od 1 stycznia 1907 r. opłaca nadto „Beskid” Towarzystwu Tatrzańskiemu także i wpisowe od nowo przyjętych członków,

Beskid” zatrzyma swój Statut i zmieni go o tyle tylko, o ile by postanowienia

jego stały w rażącej sprzeczności ze Statutem Towarzystwa Tatrzańskiego."

Jednocześnie postanowiono przyjąć propozycję Wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego dotyczącą połączenia „Beskidu” z Oddziałem Pienińskim. Powodem były przeżywane przez Oddział Pieniński problemy organizacyjne. Większość jego członków stanowiły osoby z zewnątrz, przebywające w Pieninach tylko okazjonalnie.

Towarzystwo Tatrzańskie na Walnym Zgromadzeniu 4 maja 1907 r. w Krakowie uchwaliło *„otwarcie Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid” z siedzibą w Nowym Sączu... z tem, że w razie potrzeby rozwiązuje się Oddział Pieniński Towarzystwa Tatrzańskiego”*. Na podstawie dokonanych uzgodnień, **Józef Kupczyk** z Oddziału „Beskid” opracował nowy Statut Oddziału o nazwie „Beskid–Pieniny”. Został on 20 września 1907 r. zaakceptowany przez Wydział Towarzystwa Tatrzańskiego. Gdy już zdawało się, że dojdzie do połączenia, Oddział Pieniński wycofał się z przedsięwzięcia, w wyniku czego przerwano prace scalające. W związku z powyższym Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie „Beskidu” odbyte 8 grudnia 1907 r. podjęło uchwałę o przekształceniu dotychczasowego Towarzystwa w Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid” w Nowym Sączu. Składka członkowska miała wynosić 2 korony rocznie i tyle samo wpisowe. W rezultacie 35. Walne Zgromadzenie Towarzystwa Tatrzańskiego odbyte w dniu 22 lutego 1908 r. *„ustanawia Oddział Towarzystwa „Beskid” z siedzibą w Nowym Sączu na tych samych zasadach jak dotychczasowe Oddziały”*. Nowosądecki Oddział był wprawdzie szóstym kolejnym powołanym przez Towarzystwo Tatrzańskie, ale czwartym działającym, gdyż dwa z powstałych wcześniej nie zostały na wiele lat rozwiązane (we Lwowie w 1887 r. i Stanisławowie w 1892 r.).

Wszystkie te komplikacje statutowe nie przeszkodziły „Beskidowi” w prowadzeniu intensywnej, a w kilku dziedzinach nawet pionierskiej dla polskiej turystyki działalności.

Z „Beskidem” właśnie wiązać się początki zorganizowanego narciarstwa. Część literatury specjalistycznej błędnie przypisuje to Karpackiemu Towarzystwu Narciarzy zawiązanemu we Lwowie w 1907 r. Jeszcze kilka miesięcy później powstało Zakopiańskie Towarzystwo Łyżwistów, które wkrótce zmieniło nazwę na Zakopiański Oddział Narciarzy, by w 1911 r. przyjąć nazwę Sekcji Narciarskiej Towarzystwa Tatrzańskiego. Natomiast już w grudniu 1906 r., z inicjatywy Ignacego Króla i **Romana Gde-sza**, powstała przy „Beskidzie” Sekcja Sportu Nartowego i Saneczkowego, której przewodniczył Król. Rozwinęła się ona w Sekcję Narciarską, która zaczęła przodować w kraju w organizacji kursów narciarskich. W latach 1908–1911 odbyły się one w Ptaszkowej, Czerczu i na Eliaszówce. Jednym z instruktorów był **Walery Goe-tel** — późniejszy prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, który prowadził zajęcia teoretyczne. Przeprowadzono także bezpłatny kurs dla mło-



dzieży szkolnej. W działalność Sekcji włączył się też **Wojciech Janczy**. Rozpoczęto od zorganizowania pięciu wycieczek narciarskich do Ptaszkowej, Czercza i Mniszka. Później organizowano je w całym Beskidzie Sądeckim w cyklu coniedzielnym. W 1909 r. licząca 30 członków Sekcja przystąpiła na prawach członka do Karpackiego Towarzystwa Narciarzy z roczną składką 40 koron. Zakupy sprzętu zaczęto od jednej pary nart i jednych sanek. W miarę zwiększania się możliwości finansowych ilość sprzętu w Sekcji zaczęła wzrastać i w styczniu 1911 r. uruchomiono pierwszą wypożyczalnię.

Prowadzono też pionierskie prace znakarskie. Z inicjatywy Kazimierza Sosnowskiego, a pod nadzorem zarządcy lasów w Piwnicznej inż. **Edwarda Paulego**, wyznaczono w 1907 r. pierwszy szlak turystyczny z Piwnicznej, doliną Czercza, przez Obidzę i Białą Wodę do Jaworek o długości 17 km. Drugi szlak w kolorze czerwonym o długości 20 km z Rytra przez Przehybę do Szczawnicy wyznakował rok później Kazimierz Sosnowski przy pomocy inż. Paulego i pracowników leśnych. W 1909 r. konserwując ten zniszczony już szlak, Sosnowski dodał dla uzyskania lepszej

widoczności — szczególnie w nocy, biały pasek do czerwonego. Zasadę dotyczącą dodawania paska białego do kolorowego zaczęto odtąd stosować stale. Była to innowacja w sposobie znakowania, zastosowana po raz pierwszy. Systemu tego używano aż do połowy lat dwudziestych. Rok 1910 to wyznakowanie szlaków Rytró — Niemcowa — Rogacz (biało—zielony), Piwniczna — Niemcowa — Rogacz (biało—żółty), Piwniczna — Łomnica — Pisana Hala — Makowica — Rytró (biało—żółty), Piwniczna — Eliaszkówka (biało—niebieski) i Dolina Czercza — Obidza — Eliaszkówka (biało—niebieski) o łącznej długości 58 km. W 1911 r. na stacjach kolejowych w Nowym Sączu, Rytrze i Piwnicznej umieszczono tablice informacyjne z mapami, a ponadto w Rytrze, Piwnicznej i Czerczu zainstalowano 6 żelaznych tablic drogowyśkazywujących. W 1913 r. wyznakowano trasy: Krynica — Przysłóp — Runek — Łabowska Hala — Piwniczna (biało—czerwony), Piwniczna — Niemcowa — Rogacz — Przehyba — Dzwonkówka — Krościenko (biało—żółty), Piwniczna — Czercz — Rogacz (biało—zielony), Żegiestów Zdrój — Pusta — Jaworzyna — Krynica (biało—niebieski), Muszyna — Jaworzyna (czerwony) i Muszyna — Pusta Wielka (żółty) o łącznej długości 103 km. Ponadto dokonano renowacji czterech szlaków o długości 55 km. Wreszcie w 1914 r. wyznakowano szlak Nowy Sącz — Makowica — Pisana Hala — Łabowska Hala (biało—zielony) o długości 22 km. W ten sposób do wybuchu I wojny światowej wszystkie najważniejsze szlaki w obydwu pasmach Beskidu Sądeckiego zostały wyznakowane. Poza wymienionymi — Kazimierzem Sosnowskim i Edwardem Paulim, bardzo aktywnymi znakarzami byli Roman Gdesz, **Feliks Rapf**, **Zygmunt Hetper** i **Henryk Suchanek**.

W 1907 r. ck Rada Szkolna Krajowa we Lwowie wystosowała okólnik do dyrektorów gimnazjów w Galicji, wzywający do tworzenia „*komitetów do budzenia ruchu wycieczkowego wśród młodzieży*”. Przy „Beskidzie” powstała więc Sekcja Wycieczek Szkolnych, w skład której weszło ośmiu profesorów — członków Oddziału. Rozpoczęto systematyczną organizację wycieczek dla młodzieży, wspieraną finansowo przez „Beskid”. Jeszcze w tym samym roku zorganizowano trzy pierwsze 2–3 dniowe wycieczki w Tatry, Pieniny i Beskid Sądecki.

Jednym z ambitniejszych i trudniejszych zadań, które oddział sobie wytyczył, była budowa schronisk górskich. Już 3 lipca 1908 r. na posiedzeniu wydziału Towarzystwa Tatrzańśkiego Kazimierz Sosnowski zaproponował budowę schroniska na Polanie Przehyba. Chciano kupić nie wykończony budynek na Hali Koniecznej należący do dóbr rytrzańskich i przenieść go na Przehybę. Na razie nie pozwalał na to stan finansów. Oddział postanowił jednak przeznaczyć na ten cel co rok 50 koron. Do sprawy wrócono w 1912 r. i w czerwcu rozpoczęto wstępne prace nad lokalizacją. Miejsce na budowę leżące pół godziny drogi od Przehyby, po stronie południowej

PROF. KAZIMIERZ SOSNOWSKI.



PRZEWODNIK PO BESKIDZIE ZACHODNIM

OD KRYNICY PO WISŁĘ ŁĄCZNIE Z PIE-
NINAMI I TERENAMI NARCIARSKIMI.

45
ILUSTRACJI.

◆◆◆
Cena K. 4.50.



MAPKA
TOPOGRAFICZNA
PIENIN.

KRAKÓW MCMXIV.
NAKŁADEM ODDZIAŁU TOW. TATRZAŃSKIEGO „BESKID”
W NOWYM SĄCZU.

wśród lasów Adama hr Stadnickiego, wybrali inspektor lasów inż. **Migdał** i architekt **Wojtyga**. W następnym roku postanowiono znowu wszystkie prace zawiesić do czasu „*gdy po uprzystępnieniu szerszego pasma Beskidu ruch turystyczny w naszych okolicach więcej się wzmoże*”.

Pionierskim dziełem w polskiej turystyce był pierwszy przewodnik po Beskidach opracowany przez Kazimierza Sosnowskiego. Obejmował on swym zasięgiem tereny od źródeł Wisły po Krynice i Pieniny. Autor rozpoczął pracę nad nim w 1908 r. i trwała ona 4 lata. Gdy Oddział „Beskid” zatwierdził projekt tego przewodnika w 1910 r., miał on obejmować tylko Sądeczynę. W trakcie pracy jednak rozrósł się i objął całe Beskidy Zachodnie. Ostatecznie *Przewodnik po Beskidzie Zachodnim od Krynicy po Wisłę łącznie z Pieninami i terenami narciarskimi* ukazał się w lipcu 1914 r. Cały nakład wynoszący 1.500 egzemplarzy kosztował 2.400 koron. Cena jednego egzemplarza dla członków TT wynosiła 2 korony.

W tym czasie we władzach Oddziału następowały zmiany. W miejsce zmarłego 3 listopada 1908 r. Fryderyka Augusta hr Brezy, prezesem został **Michał Töpfer** (1908–1913) a po nim **Henryk Suchanek** (1913–1914). Po Antonim Lenczowskim wiceprezesem został dr **Tadeusz Płochacki** (1910–1914). Po przeniesieniu się Kazimierza Sosnowskiego do Krakowa (który jednak dalej pozostał członkiem „Beskidu”), sekretarzami byli kolejno: **Józef Kupczyk** (1908–1909), **Franciszek Wzorek** (1909–1911), **Zdzisław Bączkowski** (1911–1913), **Zygmunt Gaudnik** (1913) i inż. **Roman Lazarowicz** (1914). I wreszcie skarbnikami po Błażeju Sławomirskim byli Józef Kupczyk (1909–1911) i **Jakub Kuska** (1911–1914).

Ilość członków Oddziału w poszczególnych latach przedstawiała się następująco:

1906	97	1909	130	1912	92
1907	100	1910	104	1913	64
1908	119	1911	107	1914	72

Wybuch I wojny światowej praktycznie przerwał działalność Oddziału na pięć lat. Choć oficjalnie prowadzone wówczas były wyłącznie prace administracyjno-biurowe, to jednak członkowie „Beskidu” organizowali nieformalnie w mniejszych grupach wycieczki górskie.

Wybrał: Andrzej Wasiak

SĄDECCZYNA NA STAREJ WIDOKÓWCE

W obecnym „*Almanachu Sądeckim*” pokazujemy widokówki z Sądecczyny w granicach ustalonych w 1939 r. przez J. Flisa i uzupełnionych przez H. Stamirskiego, zob. „*Almanach Sądecki*” R. IV nr 1(10), s. 78.



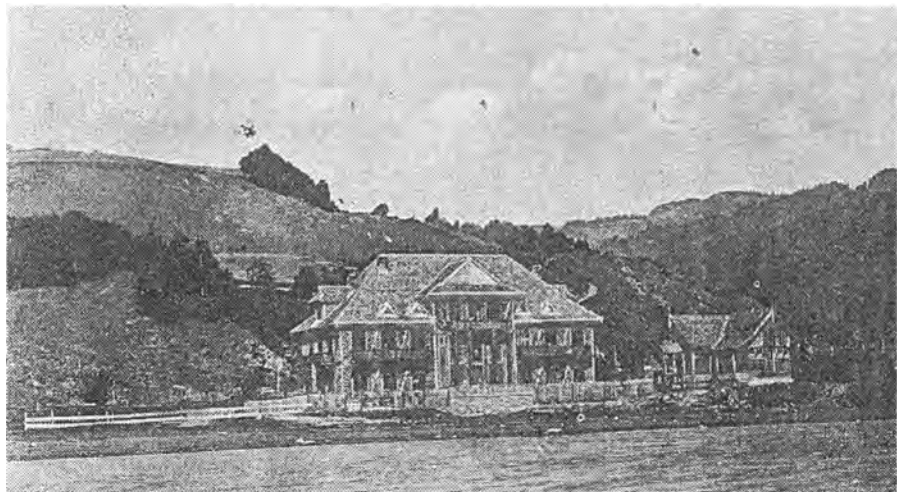
Nowy Sącz, Groby Legionistów 1914 r. w Marcinkowicach, nakł. 50, Józef Habela, Nowy Sącz 1931, ze zbiorów własnych autora



***Muszyna, widok na Muszynę i Zamczysko, nakł. Wł. Wójcicki w Muszynie,
ze zbiorów autora***



***Muszyna, Motyw ze Zamku na Poprad, ze zbiorów Antykwarni-Księgami
„Niezależna” w Częstochowie***



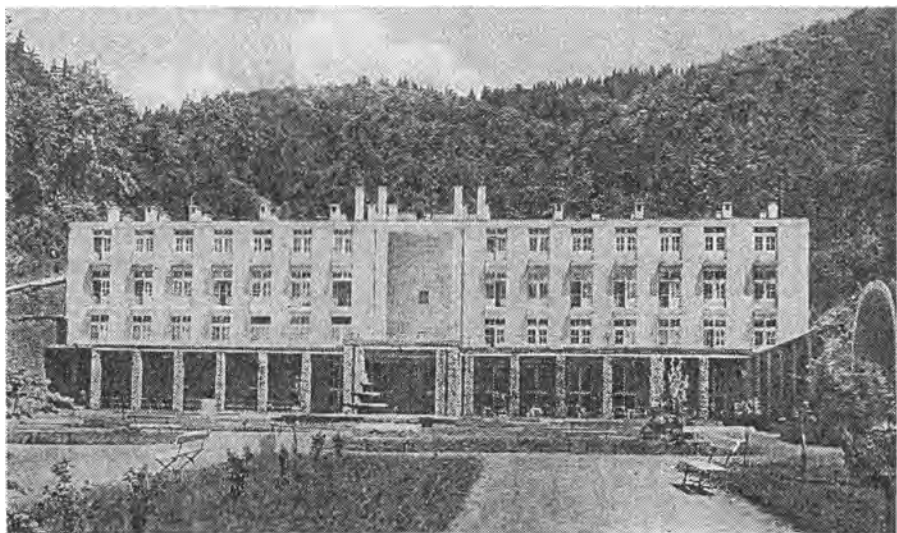
Willa „Orlęta” w Piwnicznej, ze zbiorów własnych autora



***Rytro, widok ogólny i ruiny Zamku, foto i nakł. Z.G. Głębokie
(stempel 17 VIII 33) ze zbiorów Antykwarni–Księgarni „Niezależna”
w Częstochowie***



***Stary Sącz, Klasztor PP Klarysek, nakł. Klasztoru PP Klarysek w St. Sączu,
foto Ks. Hortyński, Rotograwura Drukarni Św. Wojciecha KSW w Poznaniu, ze
zbiorów Antykwami-Księgarni „Niezależna” w Częstochowie***



***Żegiestów Zdrój, Dom Zdrojowy i Deptak, foto Kowalczyk, ze zbiorów
Antykwami-Księgarni „Niezależna” w Częstochowie***



***Żegiestów Zdrój, Hotel Pensjonat „Wiktor”, foto Kowalczyk ze zbiorów
Antykwarni–Księgarni „Niezależna” w Częstochowie***



***Żegiestów Zdrój i widok z czeskiej strony, ze zbiorów Antykwarni–Księgarni
„Niezależna” w Częstochowie***



**Żegiestów Zdrój — Plaża, nakładem Edwarda Rubinka Żegiestów Zdrój, foto
Ars, ze zbiorów Antykwarek—Księgarni „Niezależna” w Częstochowie**



**Żegiestów Zdrój. Widok
na Pensjonat**

Zbigniew Mordawski

Mobilizacja w sierpniu 1939 r.

W artykule *Listy mobilizacyjne Sądectzan z sierpnia 1939 roku* („*Almanach Sądecki*” nr 2 (11) z 1995 r. i nr 1 (14) z 1996 r.) p. Stanisław Korusiewicz pisze: „Już wcześniej w obliczu niemieckiego zagrożenia strona polska zarządziła 24.08.1939 roku utajnioną alarmową mobilizację. Ona też z chwilą podania jej do publicznej wiadomości (30.08.1939 r.) stała się najważniejszym państwowym zarządzeniem”.

Fakty były nieco inne. Mobilizacja alarmowa zarządzona 23 VIII, a rozpoczęta dzień później, była trzecią i ostatnią mobilizacją niejawną (poprzednie zarządzono 23 III i 13 VIII). W ten sposób postawiono na stopie wojennej gros sił zbrojnych. Żadna z mobilizacji alarmowych nie została podana do wiadomości publicznej (przeprowadzone były poprzez wezwania imienne). 30 VIII zarządzono mobilizację powszechną — jawną, a jej pierwszym dniem był 31 VIII; tylko ta mobilizacja ogłoszona była przy pomocy plakatów.

Mobilizację z 23 VIII w Nowym Sączu poprzedziło: podwyższanie (od lipca) stanu osobowego 1. PSP poprzez powołanie rezerwistów na ćwiczenia; wzmocnienie (10 VIII) Straży Granicznej przez przydzielenie każdemu komisariatowi rezerwowego plutonu strzelców; wzmocnienie rezerwistami Policji Państwowej; sformowanie (20 VIII) Batalionu Wartowniczego (głównie z członków Przysposobienia Wojskowego i Związku Strzeleckiego), który obsadził mosty, elektrownię, wodociągi itp. obiekty.

W ramach mobilizacji z 23 VIII zorganizowano sztab i służbę zdrowia 2. Brygady Górskiej (2. BG) oraz obronę przeciwlotniczą miasta; uzupełniono do pełnych stanów 1. PSP i Baon KOP „Żytyń” w Starym Sączu; zmobilizowano bataliony Obrony Narodowej „Gorlice” (26 VIII), „Nowy Sącz” i „Limanowa” (27 VIII) oraz pododdziały artylerii — wszystko dla 2. BG. Do 28 VIII wszystkie oddziały 2. BG znalazły się na przydzielonych odcinkach obrony. Zmobilizowany dla Armii „Kraków” 55. Ba-

talion Asystencyjny odjechał transportem kolejowym do rejonu Krakowa.

W ramach mobilizacji powszechnej sformowano Ośrodek Zapasowy 21. Dywizji Piechoty Górskiej (ewakuowany następnie do Brzeżan), dwa bataliony marszowe (z nadwyżek mobilizacyjnych 1. i 4. PSP) dla 2. BG oraz dowództwo i I batalion 156. rezerwowego pułku piechoty, które 1/2 IX przerzucone zostały transportem kolejowym do Wieliczki, do dyspozycji Armii „Kraków”.

Do tych oddziałów wcielono większość (ponad 60%) osób wymienionych w artykule. Szkoda, że Autor, mając do dyspozycji materiały wymienione w pkt. A, B i C artykułu (AS nr 2 z 1995 r.) nie podał ogólnej ilości zmobilizowanych, albo nie opracował wykazu imiennego z minimum danych o nich. Ilustrowałoby to skalę problemu.

Na zakończenie kilka uwag (sprostowań) do niektórych tylko biogramów.

Bartusiak (nie Bartusik) Jan. Miejsce i data zranienia mało prawdopodobne. Niemcy zajęli Mszanę Dolną 3/4 IX. Najdalej na zachód wysunięta była 4. kompania 1. PSP (II batalion), która 4 IX zajmowała stanowiska na wzg. 501 „Piekiełko” (6 km na północny zachód od Limanowej), a jej patrole wysunięte były na wzgórze za Tymbarkiem. 5 IX II/1. PSP bronił Nowego Sącza, a 6 IX odcinak Wilczyska — Bobowa.

Sierz. pchor. Kneć Bolesław. Wg jego oświadczenia został zmobilizowany do 55. Baonu Asystenckiego, na stanowisko dowódcy plutonu łączności.

Ppor. Lewandowski Marian. 10. Brygada Kawalerii (zmotoryzowana) płk. dypl. Stanisława Maczka nie została rozbita i 19 IX, jako zwarty oddział przekroczyła granicę węgierską na Przelęczy Tatarskiej.

Ppor. rez. Remi Zenon. Dowódca II plutonu 1. kompanii Baonu Obrony Narodowej „Nowy Sącz”. Wg jego własnej relacji (Centralne Archiwum Wojskowe, sygn. II/3/19 k. 105) 6 IX został ciężko ranny w rejonie m. Wawrzka, ewakuowany do szpitala w Jaśle, tam operowany, następnie przewieziony do szpitala we Lwowie, gdzie przebywał do czasu jego likwidacji. Jako rekonwalescent powrócił do Nowego Sącza, skąd został zabrany do obozu jenieckiego w Niemczech.

Ppor. rez. Wroński Eugeniusz. Zmobilizowane w Nowym Sączu (31 VIII — 1 IX) dowództwo i I batalion 156. pp rez. odjechały 1/2 IX transportem kolejowym do Wieliczki. Tu dołączono dwa (trzenie) bataliony 2. i 5. PSP i w takim składzie 156. pp rez. stał 3 IX w rejonie m. Łazany (południowy wschód od Wieliczki) ubezpieczając się czatą w Gdowie. Pułk ten nie mógł więc brać udziału w walkach o Wysoką koło Jordanowa 1–2 IX.

Źródła (oprócz wymienionych w tekście): T. Jurga, *Obrona Polski 1939*, Warszawa 1990; F. Skibiński, *Pierwsza Pancerna*, Warszawa 1968; W. Steblik, *Armia „Kraków” 1939*, Warszawa 1989; B. Miłek, List (relacja — Z. M.) do Redakcji „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, WPH 1964, R. IX, nr 1, s. 430–433.

SPIS TREŚCI

Antoni Wnęk BŁOGOSŁAWIONA KINGA MATKA NARODU W TRUDZIE NOWEJ EWANGELIZACJI	3
Wit Kmiotowicz ŻEGIESTOWSKI TUNEL KOLEI TARNOWSKO–LELUCHOWSKIEJ	11
Maria Kowalska JULIUSZ MIEROSZEWSKI	16
Maria i Zbigniew Bazieli WIERSE	20
Józef Bieniek PRZYJACIELE ZNAD DUNAJU	27
Małgorzata Kieres, Maciej Zaremba NIE TYLKO KILIMANDŻARO	41
Maciej Zaremba 90 LAT ODDZIAŁU „BESKID” POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO W NOWYM SĄCZU	58
Wybrał: Andrzej Wasiak SĄDECCZYNA NA STAREJ WIDOKÓWCE	68
LISTY, OPINIE, POLEMIKI	74

INCO-VERITAS Sp. z o.o.

KRAKÓW, al. 29 Listopada 94

TO PRODUCENT m. in.:

— past do podłóg

— past do mebli

— past do obuwia

— past polerskich

— środków czyszczących

m. in.: **ludwik®**
S

— wyposażenia łazienek



**najlepsza pasta woskowa
do pielęgnacji karoserii
samochodowych**



W najbliższym numerze między innymi:

■ Nie tylko Kinga

■ Klub modelarstwa lotniczego „Zefirek”
